

Model nr 2

Dick Philip



calibre 0.9.43

DICK PHILIP K.

Model nr 2

(Second variety)

PHILIP K. DICK

Z "NF" 5/92

Rosyjski żołnierz nerwowo wspinał się na strome wzgórze z pistoletem gotowym do strzału. Rozglądając się zaciskał wyschnięte usta. Od czasu do czasu odsuwał kołnierz płaszcza i wycierał rękawiczką pot z szyi.

Eryk odwrócił się do kaprała Leone.

–Bierzesz go, czy mogę się nim zająć?

Nastawił widoczność tak, że twarz Rosjanina wypełniła szklany monitor, ukazując twarde, prawie posępne rysy.

Leone zamyślił się. Rosjanin był już blisko. Szedł szybko, prawie biegł.

–Nie strzelaj. Poczekaj – powiedział. – Chyba nie będziemy potrzebni.

Rosjanin przyspieszył jeszcze, wzniecając obłoki popiołu i zapadając się w gruz. Wszedł na szczyt wzgórza, zatrzymał się zdyszany i rozejrzał dookoła. Niebo zasnuwane było szarymi chmurami. Gdzieś wystawały gołe pnie drzew. Ziemia była pusta i płaska, pokryta gruzem. Tu i ówdzie sterczały ruiny budynków przypominające pożółkłe szkielety.

Nie czuł się pewnie. Miał wrażenie, że coś jest nie w porządku. Zaczął schodzić ze wzgórza. Teraz był tylko o kilka kroków od bunkra. Zdenerwowany Eryk bawił się swoim pistoletem spoglądając na Leone.

–Nie bój się – powiedział Leone. – Nie dostanie się tu. Zajmą się nim.

–Jesteś pewien? Jest już bardzo blisko.

–Trzymają się niedaleko bunkra. Zaraz znajdzie się w ich zasięgu. Patrz!

Rosjanin przyspieszył. Ześlizgiwał się ze wzgórza. Jego buty zapadały się w kupy szarego popiołu. Próbował utrzymać pistolet w górze. Stał na chwilę i podniósł do oczu lornetkę.

–Patrzy prosto w naszym kierunku – stwierdził Eryk.

Rosjanin zbliżał się. Widzieli jego oczy, podobne do dwóch niebieskich kamieni. Miał lekko otwarte usta, był nieogolony. Na jednym policzku widać było kwadratowy plaster, spod którego wystawał niebieskawy siniak. Jego płaszcz był zniszczony i

brudny. Nie miał jednej rękawiczki. Kiedy biegł, pasek od płaszcza obijał mu się o nogi.

Leone dotknął ramienia Eryka.

–Już się zbliża.

Po ziemi sunął niewielki metalowy przedmiot połyskując w przymglonym świetle słońca. Metalowa kula. Posuwała się po wzgórzu, za Rosjaninem. Była niewielka, jeszcze dziecko. Szczęki miała wystawione na zewnątrz. Dwa sterzące ostrza wirowały tak szybko, że widać było tylko blask jasnej stali. Rosjanin usłyszał jakiś ruch. Natychmiast odwrócił się i strzelił. Kula rozpadła się na kawałki. Ale za chwilę pojawiła się następna. Rosjanin znowu strzelił.

Trzecia kula złapała go za nogę brzęcząc i warkocząc. Wskoczyła mu na ramię, błyszczące ostrza zagłębiły się w gardle Rosjanina.

Eryk odetchnął z ulgą.

–No tak. To by było na tyle. Kiedy patrzę na te cholerne maszyny, skóra mi cierpnie. Czasami żałuję, że w ogóle je wynaleźliśmy.

–Gdyby nie my, zrobiliby to Rosjanie.– Leone nerwowo zapalił papierosa. – Zastanawiam się, jak on doszedł aż tutaj. Nie zauważyłem, żeby ktoś go ochraniał.

W tunelu prowadzącym do bunkra pojawił się porucznik Scott.

–Co się stało? Widać coś na monitorze?

–Rusek.

–Tylko jeden?

Eryk podsunął monitor. Scott spojrział. Teraz widać było wiele metalowych kul, pełzających po leżącym ciele. Matowe, stalowe maszyny brzęczały, tnąc ciało Rosjanina na małe kawałki.

–Jaka masa szczęk – cicho powiedział Scott.

–Zjawiają się jak muchy. Nie mają już dużo roboty.

Scott odwrócił wzrok z obrzydzeniem.

–Jak muchy. Zastanawiam się, dlaczego on tu przyszedł. Przecież wiedzą, że wszędzie są szczęki.

Teraz do kul dołączył większy robot. Długa, tępo zakończona rura z wystającymi, szklanymi obiektywami kamer. Zaczął dyrygować całą akcją. Z żołnierza nie pozostało wiele. Resztki stado szczęk zniosło na dół.

–Panie poruczniku – powiedział Leone. – Czy mógłbym wyjść i obejrzeć go?

–Po co?

–Może coś przyniósł.

Scott zastanowił się, wzruszył ramionami. – Dobrze, ale uważaj.

–Mam znaczek.– Leone postukał w metalową opaskę na rękę. – Nic mi nie grozi.

Wziął karabin i ostrożnie wyszedł z bunkra. Przeszedł między blokami betonu i powyginanymi stalowymi konstrukcjami.

Na zewnątrz powietrze było zimne. Podszedł do zwłok rosyjskiego żołnierza zapadając się w miękki popiół. Wiejący wiatr unosił szary pył. Zmrużył oczy i przyspieszył kroku.

Kiedy się zbliżył, szczęki odsunęły się. Niektóre z nich całkiem znieruchomiały. Leone dotknął znaczka. Ten Rusek pewno wiele by dał za coś takiego. Silne promieniowanie emitowane przez znaczek neutralizowało działanie szczęk, rozbijało je. Nawet duży robot z wystającymi oczami podobnymi do czułków odsunął się z szacunkiem, gdy Leone podszedł bliżej.

Leone pochylił się nad szczątkami żołnierza. Dłoń w rękawiczce była mocno zaciśnięta. Rosjanin musiał coś w niej trzymać. Leone rozchylił zgięte palce. Zobaczył zaplombowane aluminiowe pudełko, wciąż jeszcze błyszczące.

Włożył je do kieszeni i ruszył w kierunku bunkra. Kiedy odszedł, szczęki ożyły i wróciły do przerwanej pracy. Pojawiało się ich coraz więcej. Metalowe kule zbliżały się sunąc stadami po szarym popiele. Słyszał dźwięk ich gąsienic zagłębiających się w miękkiej ziemi. Przeszedł go dreszcz.

Scott spojrział z zainteresowaniem, kiedy Leone wyjął z kieszeni błyszczące pudełko.

–Miał to przy sobie?

–Trzymał w ręku. – Leone odkręcił wieczko. – Może powinien pan to obejrzeć.

Scott wziął pudełko. Wysypał sobie na dłoń zawartość. Był to mały, starannie złożony kawałek papieru. Scott usiadł blisko światła i rozwinął kartkę.

–Co tam jest napisane? – spytał Eryk. Z tunelu wyszło kilku oficerów. Pojawił się też major Hendricks.

–Majorze – powiedział Scott. – Proszę to zobaczyć.

Hendricks przeczytał kartkę.

–Kiedy to przyszło?

–W tej chwili. To był pojedynczy żołnierz.

–Gdzie on jest? – ostro spytał Hendricks.

–Zaatakowały go szczęki.

Major Hendricks chrząknął.

–Zobaczcie. – Podał kartkę swoim towarzyszom. – Chyba na to właśnie czekaliśmy. Zabrało im trochę czasu podjęcie tej decyzji.

–Więc chcą rozmawiać o warunkach kapitulacji – stwierdził Scott. – Czy podejmiemy rozmowy?

–Decyzja nie należy do nas. – Hendricks usiadł. – Gdzie jest oficer łączności? Chcę się skontaktować z Bazą Księżycową.

Zamyślony Leone patrzył, jak oficer ostrożnie podnosi zewnętrzną antenę sprawdzając, czy na niebie nie widać jakiegoś śladu rosyjskiego statku.

–Majorze – powiedział Scott do Hendricksa – to bardzo dziwne, że tak nagle chcą nawiązać kontakt. Używamy szczęk już prawie od roku, a oni akurat teraz się poddają.

–Może dostały się do ich bunkrów.

–Jeden z dużych robotów, takich z czułkami, wdarł się do ruskiego bunkra w zeszłym tygodniu – powiedział Eryk. – Zniszczył cały pluton zanim udało im się zamknąć włącznik.

–Skąd wiesz?

–Kumpel mi powiedział. Ten robot wrócił tu z... z resztkami.

–Baza Księżycowa, panie majorze – przerwał oficer łącznościowy.

Na ekranie pojawił się żołnierz. Jego czysty mundur kontrastował z ubraniami

żołnierzy w bunkrze. Był też starannie ogolony.

–Baza Księżycowa. Tu dowództwo jednostki L-Whistle, Terra. Połącz mnie z generałem Thompsonem.

Obraz na ekranie zbladł. Nagle pojawiła się poważna twarz generała Thompsona.

–O co chodzi, majorze?

–Nasze szczęki złapały jednego rosyjskiego żołnierza, który niósł wiadomość. Nie wiemy jak postąpić. Takie podstępny już się zdarzały.

–Jak brzmi wiadomość?

–Rosjanie chcą, żebyśmy wysłali jednego oficera upoważnionego do prowadzenia negocjacji do ich bazy. Chcą zorganizować naradę, ale nie precyzują jej tematu. Piszą, że chodzi o – spojrzał na kartkę – chodzi o poważne, nagłe wydarzenia, które decydują o konieczności rozpoczęcia rozmów między reprezentantem Narodów Zjednoczonych a ich dowódcami.

Podniósł kartkę z wiadomością do ekranu tak, żeby generał mógł ją obejrzeć. Thompson szybko przeczytał tekst.

–Co powinniśmy zrobić? – spytał Hendricks.

–Wyślijcie kogoś.

–To może być podstęp.

–Może, ale lokalizacja ich bazy, którą tu podają, jest właściwa. W każdym razie warto spróbować.

–Wyślę jakiegoś oficera. Zdam raport o wyniku jego misji, gdy tylko wróci.

–W porządku, majorze.– Thompson przerwał połączenie. Obraz na ekranie znikł. Antena powoli się schowała.

Hendricks w zamyśleniu zwinął kartkę, którą wciąż trzymał w ręku.

–Ja pójdę – powiedział Leone.

–Chcą kogoś upoważnionego do prowadzenia negocjacji.– Hendricks potarł policzek. – Negocjacje. Nie byłem na zewnątrz od miesięcy. Może powinienem odetchnąć trochę świeżym powietrzem.

–To może być niebezpieczne.

Hendricks ustawił monitor i wyrztał na zewnątrz. Szczątki Rosjanina już zniknęły. Widać było tylko jedne szczęki. Zakopywały się właśnie w popiele jak jakiś ogromny, metalowy krab...

–To jedyne, co mnie powstrzymuje. – Hendricks potarł nadgarstek. – Wiem, że jak długo mam to ze sobą, nic mi nie grozi. Ale jest w nich coś podejrzanego. Nienawidzę tych cholernych maszynek. Żałuję, że w ogóle je wynaleźliśmy. Czuję w nich jakieś niebezpieczeństwo. Są niezmordowane...

–Gdybyśmy my ich nie wynaleźli, zrobiliby to Ruscy.

Hendricks odwrócił wzrok.

–W każdym razie dzięki nim chyba wygramy wojnę. W sumie to dobrze.

–Wygląda, jakbyś się ich bał nie mniej niż Ruscy.

Hendricks spojrział na swój zegarek.

–Chyba powinienem już wyruszyć. Chcę tam dotrzeć przed zapadnięciem zmroku.

Wziął głęboki oddech i wyszedł na szarą, pokrytą gruzem ziemię. Po chwili zapalił papierosa i stanął rozglądając się wokół siebie. Okolica sprawiała wrażenie zupełnie martwej. Nie widać było żadnego ruchu. Aż po horyzont tylko popiół i ruiny budynków. Kilka drzew bez liści i gałęzi, właściwie same pnie. Nad jego głową kłębiły się szare chmury dryfujące między Terrą a Słońcem.

Major Hendricks szedł dalej. Po prawej stronie coś się poruszyło, coś okrągłego i metalowego. Małe szczęki zaczęły gonić jakieś niewielkie zwierzę, może szczura. One polują też na szczury. Traktują je jak substytut.

Doszedł do szczytu niewysokiego wzgórza i podniósł do oczu lornetkę. Oddziały Rosjan stacjonowały kilka mil dalej. Mieli tam swoją bazę. Żołnierz przyszedł właśnie stamtąd.

Minął go niski, przysadzisty robot, czułki zafalowały pytająco. Hendricks patrzył, jak znika w jakimś rumowisku. Nigdy przedtem nie widział tego modelu. Było ich coraz więcej, nowe typy, rozmiary i formy produkowane w podziemnych fabrykach.

Hendricks wyjął papierosa i przyśpieszył. Ciekawe było to użycie form sztucznej inteligencji do prowadzenia wojny. Jak to się zaczęło? Wymagała tego sytuacja. Początkowo Związek Radziecki odniósł znaczny sukces, normalny dla strony, która rozpoczyna wojnę. Większość Ameryki Północnej została starta z mapy. Oczywiście natychmiast podjęto działania odwetowe. Już wiele lat przedtem, zanim zaczęła się wojna, niebo pełne było krążących rakiet. Gdy tylko Waszyngton dowiedział się o

ataku, zostały one natychmiast skierowane na Rosję.

Niewiele to jednak pomogło.

Już w pierwszym roku wojny rząd amerykański przeniósł się do Bazy Księżycowej. Nie miał zresztą wyboru. Europa już nie istniała. Tylko góry kamieni i chwasty wyrastające z popiołów i kości. Większość Ameryki Północnej też nie nadawała się do życia ani dla roślin, ani dla zwierząt czy człowieka. Kilka milionów ludzi przeniosło się do Kanady i Ameryki Południowej. Jednak w czasie drugiego roku wojny Rosjanie zaczęli zrzucać swoich spadochroniarzy, najpierw pojedynczo, potem w coraz większych grupach. Mieli oni pierwszy naprawdę skuteczny sprzęt chroniący przed promieniowaniem. To, co pozostało z amerykańskiego przemysłu, przeniosło się na Księżyc razem z rządem.

Zostało tylko wojsko. Oddziały ukrywające się gdzie popadło. Porozrzucane, kilka tysięcy tu, jakiś pluton tam. Nikt nie wiedział dokładnie, gdzie się znajdują. Przemieszczali się w nocy, pochowani w ruinach, kanałach, piwnicach, razem ze szczurami i węzami. Wszystko wskazywało na to, że Rosjanie wygrają wojnę. Oprócz paru pocisków wystrzeliwanych codziennie z Księżyca nie było przeciwko nim żadnej skutecznej broni. Przychodzili i odchodzili, kiedy tylko mieli ochotę. Wojna była praktycznie zakończona. Nic nie mogło się oprzeć Rosjanom.

I wtedy pojawiły się pierwsze szczęki. W ciągu jednej nocy sytuacja na froncie zmieniła się.

Początkowo szczęki nie były zbyt zręczne. Działy powoli. Ruscy trafiali je, gdy tylko pojawiały się na powierzchni. Ale z czasem zostały ulepszone, były coraz szybsze i sprytniejsze. Zaczęły je produkować wszystkie fabryki Terry. Fabryki umieszczone głęboko pod ziemią, te same, które kiedyś produkowały pociski atomowe, dziś już prawie zapomniane.

Szczęki stawały się szybsze, a z czasem też i większe. Pojawiały się nowe typy, niektóre wyposażone w czujniki, inne fruujące. Było kilka modeli skaczących. Najlepsi inżynierowie na Księżycu opracowywali nowe projekty, coraz bardziej skomplikowane. Stały się prawie nieuchwytnie i Ruscy mieli z nimi masę kłopotu. Niektóre małe szczęki nauczyły się ukrywać, zakopując w popiele i czekając na zdobycz.

Zaczęły też dostawać się do rosyjskich bunkrów, wślizgując się, gdy włady były otwarte. Jedne szczęki wewnątrz bunkra, wirująca kula najeżona metalowymi ostrzami – to wystarczało. Kiedy pierwsze dostały się do środka, zaraz zjawiały się następne. Przy użyciu takiej broni wojna nie mogła trwać długo.

Może właśnie się skończyła.

Może właśnie taką wiadomość usłyszy. Może Politbiuro zdecydowało się poddać. Szkoda, że trzeba było na to czekać tak długo. Sześć lat. To długo, jak na taką wojnę. Setki tysięcy automatycznych rakiet odwetowych, wypuszczanych w kierunku Rosji. Broń bakteriologiczna. Radzieckie pociski sterowane, z gwizdem przecinające powietrze. Jeden po drugim. A teraz to, roboty, szczęki...

Szczęki nie były podobne do innej broni. One żyły, jakkolwiek na to patrzeć. Niezależnie od tego, czy rząd chciał się z tym zgodzić, czy nie. One nie były normalnymi maszynami. Były żywymi istotami, poruszały się, pełzały, otrząsały się nagle z szarego popiołu i rzucały na człowieka, wspinając się tak, żeby dosięgnąć jego gardła. Po to zostały wynalezione. To było ich zadanie.

I wykonywały je dobrze. Szczególnie ostatnio, kiedy pojawiły się nowe modele. Umiały już same się naprawiać. Działały na własny rachunek. Wojska Narodów Zjednoczonych chroniły specjalne znaczki, ale jeżeli ktoś swój zgubił, stawał się potencjalną ofiarą szczęk, niezależnie od munduru, jaki nosił. Gdzieś, pod powierzchnią ziemi, zautomatyzowane maszyny potrafiły je opanować. Ludzie nie zajmowali się tym. Niebezpieczeństwo było zbyt duże, nikt nie chciał przebywać w ich pobliżu. Zostały pozostawione samym sobie. I zdaje się, że całkiem nieźle sobie radziły. Nowe typy były szybsze, bardziej skomplikowane. Wydajniejsze.

Najwyraźniej wygrywały wojnę.

Major Hendricks zapalił drugiego papierosa. Ten krajobraz przytłaczał go. Nic, tylko popiół i ruiny. Wydawało mu się, że był sam, jedyna żyjąca istota na całym świecie. Na prawo wznosiły się ruiny miasta. Kilka ścian i kupy gruzu. Rzucił zgaszoną zapalniczkę, przyspieszając kroku. Nagle zatrzymał się, podniósł pistolet, jego ciało zeszywniało. Przez chwilę wydawało mu się...

Zza szkieletu zrujnowanego budynku wyszła jakaś postać i powoli, trochę niepewnie, zbliżała się w jego kierunku.

Hendricks zmrużył oczy.

–Stać!

Chłopiec zatrzymał się. Hendricks opuścił pistolet. Chłopiec stał patrząc na niego w milczeniu. Był mały. Jeszcze dziecko. Mógł mieć osiem lat. Trudno było to stwierdzić na pewno. Większość dzieci, które przeżyły, wydawała się opóźniona w rozwoju. Chłopiec miał na sobie wyblakły niebieski sweter, cały zakurzony i krótkie spodnie. Jego włosy były długie i matowe. Spadały mu na twarz i uszy. Trzymał coś w ręku.

–Co tam trzymasz? – ostro spytał Hendricks.

Chłopiec wyciągnął rękę. Była to zabawka, miś. Pluszowy miś. Oczy chłopca

wydawały się bardzo duże, ale bez wyrazu.

Hendricks odprężył się.

–Nie chcę twojego misia. Trzymaj go.

Chłopiec znowu przytulił misia.

–Gdzie mieszkasz? – zapytał Hendricks.

–Tam.

–W ruinach?

–Tak.

–Pod ziemią?

–Tak.

–Ilu was tam jest?

–Jak to ilu?

–Ilu was jest? Jak duży jest wasz oddział?

Chłopiec nie odpowiedział.

Hendricks zmarszczył brwi.

–Jesteś całkiem sam?

Chłopiec przytaknął.

–Jak ci się udało przeżyć?

–Jest jedzenie.

–Jakie jedzenie?

–Różne.

Hendricks przyjrzał się chłopcu.

–Ile masz lat?

–Trzynaście.

To było nieprawdopodobne. A może? Chłopiec był chudy. Przez lata narażony na promieniowanie. Nic dziwnego, że wydawał się taki mały. Jego ręce i nogi przypominały patyki, cienkie i suche. Hendricks dotknął dłoni chłopca. Skóra była sucha i szorstka; napromieniowana. Spojrzał w dół, na jego twarz. Zupełnie bez wyrazu. Duże oczy, duże i ciemne.

–Czy jesteś niewidomy? – spytał Hendricks.

–Nie. Trochę widzę.

–Jak się chronisz przed szczękami?

–Szczękami?

–Takie okrągłe maszyny. Szybko biegają i brzęczą.

–Nie rozumiem.

Może w okolicy nie było żadnych szczęk. Do wielu miejsc jeszcze nie dotarły. Zbierały się na ogół wokół bunkrów, tam gdzie byli ludzie. Były zaprojektowane w ten sposób, żeby wyczuwać ciepło, ciepło żywych istot.

–Masz szczęście. – Hendricks wyprostował się. – No dobrze. Gdzie idziesz? Wracasz tam?

–Czy mogę pójść z tobą?

–Ze mną? – Hendricks skrzyżował ramiona. – Ja idę daleko. Muszę się spieszyć. – Spojrzał na zegarek. – Muszę tam dojść, zanim się ściemni.

–Też chcę pójść.

Hendricks pogrzebał w plecaku.

–To nie ma sensu. Masz. – Rzucił puszki z jedzeniem, które miał ze sobą. – Weź to i wracaj do siebie. Dobrze?

Chłopiec nie odpowiedział.

–Będę tędy wracał. Za dzień lub dwa. Jeżeli będziesz gdzieś w okolicy, zabiorę cię ze sobą. W porządku?

–Chcę pójść z tobą teraz.

–To daleka droga.

–Mogę iść.

Hendricks poruszył się niespokojnie. Dwie osoby razem stanowiły świetny cel. Poza tym chłopiec będzie opóźniał marsz. Ale z drugiej strony może nie spotka go już wracając. A jeżeli rzeczywiście był całkiem sam...

–Dobrze, chodź.

Stanął obok niego. Hendricks ruszył szybko przed siebie. Chłopiec szedł cicho, trzymając swojego misia.

–Jak masz na imię? – Odezwał się Hendricks po jakimś czasie.

–David Edward Derring.

–David? A co... co się stało z twoimi rodzicami?

–Umarli.

–W jaki sposób?

–W czasie wybuchu.

–Dawno?

–Sześć lat temu.

Hendricks przystanął.

–Byłeś sam przez sześć lat?

–Nie. Byli jeszcze inni ludzie. Ale potem odeszli.

–I zostałeś sam?

–Tak.

Hendricks spojrział na chłopca. Był jakiś dziwny, małomówny. Zamknięty w sobie. Ale takie właśnie były dzieci, które przeżyły. Ciche. Spokojne. Jakby przytłoczone jakimś dziwnym pesymizmem. Nic nie było w stanie ich zaskoczyć. Akceptowały wszystko, co los im przynosił. Nie było już żadnego normalnego, naturalnego porządku rzeczy, moralnego czy fizycznego, na którym mogłyby polegać. Obyczaje, przyzwyczajenia, wszystko, czego ich uczono, znikło. Pozostały tylko okrutne doświadczenia.

–Czy idę za szybko?

–Nie.

–Jak mnie zauważyłeś?

–Czekałem.

–Czekałeś? – Hendricks był zaskoczony. – Na co czekałeś?

–Czekałem, żeby coś złapać.

–Co złapać?

–Coś do jedzenia.

–Aaa. – Hendricks przygryzł wargi. Trzynastoletni chłopiec, żywiący się szczurami i na wpół zapsutymi konserwami. Żyjący w jakiejś jamie, w ruinach miasta. Na radioaktywnym terenie wśród szczęk i pikujących rosyjskich bomb, krążących po niebie.

–Gdzie idziemy? – spytał David.

–Do rosyjskiej bazy.

–Rosyjskiej?

–Do wrogów. Tych, którzy zaczęli wojnę. To oni zrzucili pierwsze pociski radioaktywne. Oni to wszystko zaczęli.

Chłopiec pokiwał głową. Jego twarz nie wyrażała żadnego uczucia.

–Ja jestem Amerykaninem – powiedział Hendricks.

Żadnego komentarza. Szli tak we dwóch. Hendricks nieco z przodu, David tuż za nim, trzymając w objęciach brudnego pluszowego misia.

Okolo czwartej po południu zatrzymali się, żeby coś zjeść. Hendricks rozpałił ogień w małym dołku między kawałkami betonu. Wyrwał rosnące tam chwasty i pozbiierał na małą kupkę kawałki drewna. Oddziały rosyjskie były już niedaleko. Znajdowali się w miejscu, które kiedyś było długą doliną, pełną drzew owocowych i winorośli. Nie pozostało z tego nic, oprócz paru gołych pni i gór ciągnących się w dali na horyzoncie. Wiatr unosił chmury pyłu, który pokrywał wszystko. Rosnące chwasty, pozostałości budynków, ściany stojące tu i ówdzie, resztki dawnej drogi.

Hendricks zrobił kawę, podgrzał gotowaną baraninę i chleb.

–Proszę. – Podał chleb i mięso Davidowi. Chłopiec siedział skulony przy ogniu.

Wyraźnie widać było jego białe, kościste kolana. Obejrzał uważnie jedzenie i oddał je z powrotem, potrząsając głową.

–Nie.

–Nie? Nie chcesz?

–Nie.

Hendricks wzruszył ramionami. Może chłopiec był jakimś mutantem, przyzwyczajonym do specjalnego jedzenia. Trudno. Jak będzie głodny, znajdzie sobie pożywienie. Dziwny był ten David. Ale na świecie zdarzało się tyle dziwnych rzeczy. Życie nie było już takie jak dawniej. I już nigdy nie będzie. Ludzie muszą zdać sobie z tego sprawę.

–Jak chcesz – powiedział Hendricks. Sam zjadł chleb i baraninę, popijając kawą. Jadł powoli, z trudem przełykał jedzenie. Kiedy skończył, wstał i zdeptał ogień.

David podniósł się powoli, patrząc na niego swoimi oczami starego dziecka.

–Idziemy – stwierdził Hendricks.

–Dobrze.

Hendricks szedł trzymając w ręku pistolet. Byli już blisko; czuł napięcie, gotowy na wszystko. Rosjanie powinni kogoś oczekiwać, ale jeżeli krył się w tym jakiś podstęp... Łatwo mógł wpaść. Uważnie obserwował okolicę. Nic tylko gruz, popiół, jakieś wzgórza, wypalone pnie. Betonowe ściany. Ale gdzieś tu znajdował się pierwszy rosyjski bunkier. Ukryty głęboko pod ziemią. Na powierzchni można było dostrzec tylko peryskop, kilka karabinowych luf, może antenę.

–Czy szybko tam dojdziemy? – spytał David.

–Tak. Jesteś zmęczony?

–Nie.

–To dlaczego pytasz?

David nie odpowiedział. Szedł, z trudem torując sobie drogę w popiele. Jego nogi i buty były brudne od pyłu. Twarz ściągnięta, pokryta smugami szarego kurzu, które odcinały się od białej skóry. Nie miał rumieńców. Typowe dla dzieci wychowywanych w piwnicach, kanałach i podziemnych schronach.

Hendricks zwolnił. Podniósł do oczu lornetkę i starannie obserwował teren przed sobą. Czy byli tam gdzieś, czekając na niego? Obserwując go tak, jak jego ludzie

obserwowali rosyjskiego żołnierza? Przeszedł go dreszcz. Może już trzymali pistolety, gotowi do strzału, zdecydowani zabijać tak jak i jego ludzie.

Hendricks zatrzymał się, otarł pot z twarzy.

–Cholera.

Czuł się niepewnie. Ale przecież powinni go oczekiwać. Jego sytuacja była inna.

Szedł zapadając się w popiół, pistolet trzymał mocno dwiema rękami. Za nim szedł David. Hendricks w skupieniu rozglądał się wokół. To mogło stać się w każdej chwili. Biały błysk, strzał, starannie wycelowany z głęboko ukrytego, betonowego bunkra.

Podniósł rękę i zamachał.

Nic się nie poruszyło. Po prawej stronie widział pasmo wzgórz i suche pnie drzew. Na tych pozostałościach wyrosło kilka dzikich pędów winorośli. I, jak zwykle, chwasty. Hendricks obserwował wzgórze. Czy coś się tam kryło? Było to idealne miejsce na punkt obserwacyjny. Podeszedł ostrożnie, David postępował tuż za nim. Gdyby to była jego baza, tu postawiłby wartownika, wypatrującego nieprzyjaciela i badającego okolicę. Oczywiście wokół jego bazy byłaby masa szczęk zapewniających pełną ochronę.

Staął na rozstawionych nogach, z rękoma na biodrach.

–Czy to tu? – spytał David.

–Prawie.

–Dlaczego się zatrzymaliśmy?

–Nie chcę niepotrzebnie ryzykować. – Hendricks powoli posuwał się do przodu. Teraz wzgórze znajdowały się tuż obok, po jego prawej stronie. Jeżeli tam, na górze stał jakiś Rusek, nie miał żadnych szans. Znowu pomachał ręką. Powinni oczekiwać kogoś w mundurze Narodów Zjednoczonych z odpowiedzią na ich wiadomość. Pod warunkiem, że nie był to podstęp.

–Trzymaj się mnie. – Odwrócił się do Davida. – Nie zostawaj z tyłu.

–Ciebie?

–No, blisko mnie. To już niedaleko. Nie możemy ryzykować. Chodź.

–Poradzę sobie. – David szedł z tyłu, kilka kroków za nim. Wciąż trzymając swojego pluszowego misia.

–Rób, jak chcesz. – Hendricks znowu podniósł do oczu lornetkę, nagle skupiony. Przez moment... Czyżby coś się poruszyło? Uważnie obserwował wzgórze. Wokół panował spokój. Martwa cisza. Żadnych śladów życia, tylko pnie drzew i popiół. Może kilka szurów. Dużych, czarnych szurów, które umknęły szczękom. Mutantów, budujących nory z popiołu pomieszanego ze śliną. Adaptacja do warunków. Znow ruszył do przodu.

Na szczycie wzgórza pojawiła się wysoka postać w powiewającym płaszczu. Szarozielonym. Rosjanin. Za nim zjawił się drugi żołnierz, też Rosjanin. Podnieśli pistolety, wycelowali.

Hendricks zamarł. Otworzył usta. Żołnierze klęczeli, patrząc w dół zbocza. Dołączyła do nich trzecia postać, mniejsza, też w szarym mundurze. Kobieta. Stała tuż za nimi.

Hendricks odzyskał głos.

–Nie! – Zaczął machać nerwowo. – Jestem...

Rosjanie wystrzelili. Hendricks usłyszał za plecami słaby trzask. Uderzyła w niego fala gorącego powietrza, rzucając go na ziemię. Popiół przysypał mu twarz, wciskając się do oczu i nosa. Krztusząc się, podciągnął się na kolana. Jednak był to podstęp. Nie miał szans. Przyszedł tu, żeby dać się zabić jak bezbronna ofiara. Żołnierze i kobieta schodzili w dół zbocza w jego kierunku, ślizgając się w miękkim popiele. Hendricks był jak sparaliżowany. W głowie czuł pulsowanie. Niepewnie podniósł broń i wycelował. Miał wrażenie, jakby jego pistolet ważył tonę, z trudem mógł go utrzymać. Paliły go policzki. W powietrzu czuć było zapach wystrzału, gorzki, cierpki swąd.

–Nie strzelaj – krzyknął jeden z Rosjan. Mówił po angielsku z silnym akcentem.

Wszyscy troje podeszli do niego. Stałi wokół.

–Opuść broń, Jankesie – powiedział drugi.

Hendricks był zaskoczony. Wszystko to stało się tak szybko. Złapali go. Zastrzelili chłopca. Odwrócił głowę. David zniknął. To, co z niego zostało, leżało rozrzucone na ziemi.

Rosjanie patrzyli na niego z zaciekawieniem. Hendricks usiadł, otarł krew z nosa, strząsając popiół. Potrząsnął głową, próbując się otrzepać.

–Dlaczego to zrobiliście? – wyszeptał z trudem. – Chłopiec?

–Dlaczego? – Jeden z żołnierzy pomógł mu się podnieść i odwrócił go. – Spójrz.

Hendricks zamknął oczy.

–Spójrz! – Dwóch Rosjan popchnęło go do przodu. – Zobacz. Pospiesz się. Zaraz będzie za późno!

Hendricks spojrzał. Poczuł, że brakuje mu tchu.

–Widzisz? Teraz rozumiesz?

Resztki Davida. Kręcące się metalowe kółka. Błyszczący metal. Części, przewody. Jeden z Rosjan kopnął tę kupę żelastwa. Części rozsypały się, potoczyły w różnych kierunkach, kółka, sprężyny, drążki. Plastikowa powłoka spadła, na wpół zwęglona. Hendricks pochylił się drżąc. Odpadł przód głowy. Mógł teraz dostrzec skomplikowany mózg, przewody i złącza, małe rurki i przełączniki, tysiące drobnych fragmentów...

–Robot – powiedział żołnierz trzymający broń. – Obserwowaliśmy, jak szedł za tobą.

–Szedł za mną?

–To ich metoda. Idą za tobą aż do bunkra. W ten sposób dostają się do środka.

Hendricks zamrugał oczami, oniemiały.

–Ale...

–Chodź. – Poprowadzili go w kierunku wzgórza. – Nie możemy tu zostać. To niebezpieczne. W okolicy jest ich pełno.

Wszyscy troje pomogli mu się wspiąć na zbocze, ślizgając się i zapadając w piasku. Kobieta weszła pierwsza i czekała na nich na szczycie wzgórza.

–Najbardziej wysunięta baza – wyszeptał Hendricks. – Przyszedłem tu, żeby negocjować z Rosjanami...

–Nie ma już bazy. Dostały się do środka. Wytłumaczmy ci to.– Osiągnęli wreszcie szczyt. – Zostaliśmy tylko my. We trójkę. Inni byli na dole, w bunkrze.

–Tędy. Tędy w dół. – Kobieta odkręciła klapę, szarą pokrywę umieszczoną w ziemi. – Wchodźcie.

Hendricks zszedł w dół po drabinie, za nim kobieta i żołnierze. Położyli klapę na miejscu, starannie ją przykręcając.

–Dobrze, że cię zauważyliśmy – mruknął jeden z żołnierzy. – Prawie mu się udało dojść za tobą aż tutaj.

–Daj mi papierosa – powiedziała kobieta. – Już od tygodni nie miałam w ustach amerykańskiego papierosa.

Hendricks podał jej otwartą paczkę. Wzięła papierosa i podała paczkę dwóm żołnierzom. W rogu małego pokoju stała lampa, paląc się nierównym płomieniem. Pokój był ciasny i niski. Siedzieli we czwórkę wokół małego drewnianego stołu. Z boku stało kilka brudnych naczyń. Za wystrzępioną zasłoną widać było kawałek drugiego pokoju. Hendricks zauważył fragment kapy, jakieś prześcieradła, ubrania powieszona na kołku.

–Byliśmy tu – powiedział żołnierz siedzący obok niego. Zdjął hełm, odgarnął z czoła jasne włosy. – Jestem kapral Rudi Maxer. Polak. Powołany do Armii Radzieckiej dwa lata temu. – Wyciągnął rękę.

Hendricks zawahał się, potem uściśnął podaną dłoń. – Major Joseph Hendricks.

–Klaus Epstein – przedstawił się drugi żołnierz, niewysoki mężczyzna z ciemnymi, rzadnymi włosami. Nerwowo szarpał koniec ucha. – Austriak. Powołany Bóg wie kiedy. Już nie pamiętam. Byliśmy tu we trójkę, Rudi, ja i Tasso. Wskazał kobietę. – Udało nam się przeżyć. Wszyscy inni byli w bunkrze.

–I... I one się tam dostały?

Epstein zapalił papierosa.

–Najpierw tylko jeden. Podobny do tego, który szedł z tobą. On wpuścił inne.

Hendricks zaniepokoił się.

–Podobny? Czy jest więcej rodzajów?

–Mały chłopiec. David. David trzymający pluszowego misia. To model nr 3. Najskuteczniejszy.

–Jakie są inne modele?

Epstein sięgnął do kieszeni płaszcza.

–Masz – położył na stole plik zdjęć, przewiązanych sznurkiem. – Sam zobacz.

Hendricks rozwiązał sznurek.

–Widzisz – powiedział Rudi Maxer. – To dlatego chcieliśmy negocjować. To znaczy Rosjanie. Odkryliśmy to jakiś tydzień temu. Okazało się, że wasze szczęki zaczęły same wymyślać nowe modele. Nowe, coraz lepsze typy podobnych do nich robotów. Gdzieś w podziemnych fabrykach. Skonstruowaliście je tak, żeby same się

produkowały i naprawiały. Tworzyliście coraz bardziej skomplikowane wersje. To wasza wina.

Hendricks obejrzał zdjęcia. Były robione w pośpiechu. Niewyraźne i zamazane. Pierwsze ukazywały Davida. David idący drogą, sam. Jeden David i drugi David. Trzech Davidów. Wszyscy identyczni. Każdy ze starym pluszowym misiem.

Każdy tak samo wzruszający.

–Obejrzyj resztę – powiedziała Tasso.

Następne zdjęcia, robione z dużej odległości, ukazywały rannego żołnierza siedzącego przy ścieżce, z ręką na temblaku, z wyciągniętą przed siebie sztuczną nogą i byle jak skleconymi kulami na kolanach. Potem dwóch żołnierzy, identycznych, stojących obok siebie.

–To jest model nr 1. Ranny żołnierz. – Klaus sięgnął po zdjęcia. – Widzisz, zadaniem szczęk było zbliżanie się do ludzi, znajdowanie ich. Każdy kolejny typ okazywał się lepszy niż poprzedni. Dochodziły coraz bliżej i bliżej, trudno było je pokonać, dostawały się do naszych baz. Ale póki były to zwykłe maszyny, metalowe kule ze szczękami i czujnikami, bez trudu mogliśmy je rozpoznać, jak każdy inny przedmiot. Na pierwszy rzut oka identyfikowaliśmy je jako śmiertcionośne roboty.

–Model nr 1 wykończył całe nasze północne skrzydło – powiedział Rudi. – Dużo czasu minęło, zanim ktokolwiek zrozumiał, o co chodzi. Wtedy było już za późno. Ranni żołnierze przychodzili, pukali i prosili, żeby ich wpuścić. Więc wpuszczaliśmy ich. Kiedy tylko znajdowali się w środku, natychmiast zaczynali działać. Obawialiśmy się tylko maszyn...

–Wtedy sądzono, że istnieje tylko jeden typ – mówił Klaus Epstein. – Nikt nie podejrzewał, że mogą istnieć inne. Rozdano nam zdjęcia. Wysłany do was posłaniec wiedział tylko o tym jednym rodzaju. O modelu nr 1. Nazwaliśmy go Ranny Żołnierz. Myśleliśmy, że to wszystko.

–Wasza baza została pokonana przez...

–Przez model nr 3. David z misiem. Był nawet skuteczniejszy. – Klaus gorzko się uśmiechnął. Żołnierze lubią dzieci. Wpuszczaliśmy je do środka i próbowaliśmy karmić. Ciężko było zgadnąć, że to podstęp. W każdym razie ci, którzy byli w bunkrze, nie zgadli.

–My mieliśmy szczęście – stwierdził Rudi. – Klaus i ja byliśmy... Odwiedzaliśmy Tasso, kiedy to się stało. To jej mieszkanie. – Pokazał ręką dookoła. – Ta piwniczka. Skończyliśmy i weszliśmy po drabinie, żeby już wracać. Ze szczytu wzgórza zobaczyliśmy, że są wszędzie wokół bunkra. Walka trwała. Wszędzie Davidy z

misiami, całe setki. Klaus zrobił zdjęcia.

Klaus złożył leżące fotografie.

–I tak jest wszędzie w waszych bazach? – spytał Hendricks

–Tak.

–A co będzie z nami? – Bezmyślnie dotknął znaczka na nadgarstku. – Czy one...

–Wasze znaczki nie przeszkadzają im. Rosjanin, Amerykanin, Polak, Niemiec, to dla nich wszystko jedno. Robią to, do czego zostały stworzone. Spełniają swoje zadanie. Niszczą życie, gdziekolwiek je znajdują.

–Są wrażliwe na ciepło – powiedział Klaus. – Tak je skonstruowaliście od samego początku. Oczywiście modele, które wyście projektowali, przestawały działać pod wpływem radioaktywnych znaczków, jakie nosiliście. Teraz przewyciężyły już i tę trudność. Nowe typy są skuteczniejsze.

–A jaki jest ten ostatni typ? Spytał Hendricks. – David, Ranny Żołnierz i...?

–Nie wiemy – Klaus wskazał na ścianę. Wisiały tam dwie metalowe tabliczki porysowane na brzegach. Hendricks wstał i obejrzał je. Były pogięte i wyszczerbione.

–Ta po lewej stronie jest z Rannego Żołnierza – powiedział Rudi. – Zniszczyliśmy jednego. Szedł w kierunku naszego starego bunkra. Strzeliliśmy do niego ze wzgórza tak jak do Davida, który był z tobą.

Na tabliczce wyciśnięte było M-1. Hendricks dotknął drugiej.

–A ta jest z Davida?

–Tak – Na tabliczce można było przeczytać: M-3.

Klaus spojrzął na ścianę, położył rękę na szerokim ramieniu Hendricksa.

–Rozumiesz, jak wygląda nasza sytuacja. Jest jeszcze jeden model. Może nigdy go nie wyprodukowano. Może się nie sprawdził. Ale istnieje gdzieś model nr 2. Tak jak istnieje nr 1 i nr 3.

–Miałeś szczęście – stwierdził Rudi. – David szedł z tobą całą drogę, i nawet cię nie dotknął. Może myślał, że doprowadzisz go do jakiegoś bunkra.

–Kiedy jeden dostanie się do środka, to już koniec – powiedział Klaus. – Są szybkie. Pierwszy wpuszcza resztę. Działają idealnie. Maszyny stworzone w jednym celu. Nic innego je nie interesuje. – Otarł pot z twarzy. – Widzieliśmy to.

Zapanowała cisza.

–Daj mi jeszcze jednego papierosa – powiedziała Tasso. – Są dobre. Już prawie zapomniałam jak smakują.

Zapadła noc. Niebo było całkiem czarne. Przez chmury popiołu nie można było zobaczyć ani jednej gwiazdy. Klaus ostrożnie podniósł klapę tak, żeby Hendricks mógł się rozejrzeć.

Rudi pokazał coś w ciemnościach.

–Tam są bunkry, w których kiedyś mieszkaliśmy. Mniej niż pół mili stąd. To był czysty przypadek, że Klaus i ja nie siedzieliśmy tam, kiedy to się stało. Słabość. Ocaleni przez swoje żądze.

–Wszyscy inni zginęli – powiedział Klaus cicho. – To stało się tak szybko. Tamtego ranka Politbiuro podjęło decyzję. Powiadomili nas o tym. Natychmiast wysłano wiadomość. Widzieliśmy, jak posłaniec rusza w kierunku waszych bunkrów. Chroniliśmy go, dokąd nie zniknął nam z oczu.

–Alex Radriwski. Znaliśmy go obaj. Zniknął około szóstej. Chwilę po wschodzie słońca. Mniej więcej w południe Klaus i ja mieliśmy wolną godzinę. Po cichu zmyśliśmy się z bunkra. Nikt nas nie zobaczył. Przyszliśmy tu. To kiedyś było miasto, kilka domów, ulica. Ta piwnica to część dawnego dużego domu. Wiedzieliśmy, że Tasso będzie tu, ukryta w swoim małym mieszkanku. Odwiedzaliśmy ją często. Inni z bunkra też. Tamtego dnia była akurat nasza kolej.

–Tak się uratowaliśmy – stwierdził Klaus. – Czysty przypadek. Równie dobrze mógł to być ktoś inny. Kiedy... Kiedy skończyliśmy, wyszliśmy na powierzchnię i ruszyliśmy z powrotem. Wtedy to zobaczyliśmy. Setki Davidów. Natychmiast zrozumieliśmy, co się stało. Widzieliśmy zdjęcia modelu nr 1, Rannego Żołnierza. Nasz komisarz rozdał nam je i wyjaśnił o co chodzi. Gdybyśmy poszli jeszcze parę kroków, zobaczyłyby nas. I tak musieliśmy zastrzelić dwa z nich, żeby tu wrócić. Były ich masy, wszędzie. Jak mrówki. Zrobiliśmy zdjęcia i ukryliśmy się z powrotem tutaj, starannie zamykając włącz.

–Pojedyncze nie są takie groźne. Poruszają się wolniej od nas. Ale są bezlitosne. Nie przypominają żywych istot. Tamte szły prosto w naszym kierunku. Zastrzeliliśmy je.

Major Hendricks stał oparty o krawędź włączu, przyzwyczajając oczy do ciemności.

–Może w ogóle nie powinniśmy otwierać kłapy?

–Trzeba po prostu uważać. Jak inaczej uruchomisz swój nadajnik?

Hendricks powoli podniósł mały nadajnik, który miał przypięty do paska. Przycisnął go do ucha. Metal był zimny i wilgotny. Dmuchnął w mikrofon, podnosząc krótką antenę. Usłyszał słaby szum.

–Chyba masz rację.

Wciąż jednak się wahał.

–Wciągniemy cię, gdyby coś się stało – powiedział Klaus.

–Dzięki. – Hendricks stał jeszcze chwilę, opierając nadajnik. – To ciekawe, prawda?

–Co?

–No, te nowe typy. Nowe modele szczęk. Jesteśmy zupełnie bez szans. Teraz pewno dostały się już do baz Narodów Zjednoczonych. Zastanawiam się, czy to nie jest początek nowego gatunku. Nowy gatunek, no ewolucja. Rasa, która wyprze człowieka.

Rudi chrząknął.

–Nie ma rasy, która zastąpi człowieka.

–Nie? Dlaczego nie? Może właśnie to obserwujemy, koniec gatunku ludzkiego i początek nowego społeczeństwa.

–Ale to nie jest rasa. To mechaniczni mordercy. Stworzyliście je, aby niszczyły. To wszystko, co umieją robić. Są maszynami istniejącymi w jednym, konkretnym celu.

–Na razie tak się wydaje. Ale co będzie później? Kiedy wojna już się skończy. Może, gdy zabraknie ludzi do zabijania, zaczną ukazywać swoje prawdziwe możliwości.

–Mówisz o nich tak, jakby były żywe!

–A nie są?

Zapanowała cisza.

–To są maszyny – powiedział w końcu Rudi. – Wyglądają jak ludzie, ale są to tylko mechanizmy.

–Spróbuj nawiązać łączność, majorze – powiedział Klaus. – Nie możemy tu stać bez końca.

Ściskając w rękę nadajnik Hendricks wywołał kod bazy. Czekał, słuchając uważnie. Żadnej odpowiedzi. Tylko cisza. Starannie sprawdził przewody. Wszystko było w

porządku.

–Scott! – powiedział do mikrofonu. – Czy mnie słyszysz?

Cisza. Wyciągnął wyżej antenę i spróbował jeszcze raz. Nic.

–Nie ma połączenia. Może słyszą mnie, ale nie chcą odpowiedzieć.

–Powiedz im, że sytuacja jest krytyczna.

–Pomyślą, że ktoś mnie zmusza do nawiązania łączności, że robię to na wasz rozkaz. – Spróbował jeszcze raz, streszczając krótko wszystkie wiadomości. Odpowiedzi jednak nie było. Usłyszał tylko jakieś słabe trzaski.

–Promieniowanie radioaktywne zagłusza większość sygnałów – powiedział Klaus po chwili. – Może to dlatego.

Hendricks schował nadajnik.

–To nic nie da. Nie ma żadnej odpowiedzi. Promieniowanie radioaktywne? Może. Albo słyszą mnie, ale nie odpowiadają. Szczerze mówiąc, ja też bym tak zrobił, gdyby wysłany żołnierz próbował nawiązać łączność z rosyjskiej bazy. Nie mają powodu, żeby mi wierzyć. Może słyszeli wszystko, co mówiłem...

–A może jest już za późno.

Hendricks pokiwał głową.

–Lepiej zamknijmy właz – powiedział Rudi nerwowo. – Po co podejmować niepotrzebne ryzyko.

Powoli zeszli na dół. Klaus starannie zamknął klapę. Weszli do kuchni. Powietrze było ciężkie i duszne.

–Czy one naprawdę pracują aż tak szybko? – spytał Hendricks. – Opuściłem bunkier dziś w południe. Dziesięć godzin temu. Jak mogłyby tak szybko się przemieścić?

–To nie zabiera im dużo czasu. Wystarczy, że pierwszy z nich dostanie się do środka. Potem stają się zupełnie nie do opanowania. Wiesz przecież, co mogą zrobić małe szczęki. One są niewiarygodne. Ostrza w każdym palcu...

–Już dobrze. – Hendricks odsunął się zniecierpliwiony. Stał do nich plecami.

–O co ci chodzi? – spytał Rudi.

–Baza Księżycowa. Boże, jeżeli tam też się dostały...

–Baza Księżycowa?

Hendricks odwrócił się.

–Nie mogły przecież dostać się tam. Jak by to zrobiły? To niemożliwe. Nie wierzę w to.

–Co to jest Baza Księżycowa? Słyszeliśmy jakieś plotki, ale nic konkretnego. Jaka jest wasza sytuacja? Chyba musisz być dobrze poinformowany.

–Jesteśmy zaopatrywani z Księżyca. Tam jest nasz rząd, nasz przemysł i ludzie. Wszystko ukryte pod powierzchnią. Dzięki temu jeszcze się trzymamy. Jeżeli znalazły jakiś sposób, żeby przedostać się stąd na Księżyc...

–Wystarczy, żeby jeden z nich tam dotarł. Wtedy on ułatwi drogę innym. Całym setkom identycznych robotów. Widziałeś, jak wyglądają, wszystkie takie same. Jak mrówki.

–Idealny socjalizm – stwierdziła Tasso. – Doskonały wzór państwa komunistycznego. Każdy obywatel może być zastąpiony innym.

Klaus chrząknął niezadowolony.

–Wystarczy już. No dobrze, i co dalej?

Hendricks chodził w tę i z powrotem po małym pokoju. W powietrzu czuć było zapach jedzenia i potu. Pozostali patrzyli na niego. Tasso odsunęła zasłonę dzielącą dwa pokoje.

–Ja idę się przespać.

Wyszła i zasłoniła przejście. Rudi i Klaus usiedli przy stole, wciąż obserwując Hendricksa.

–To ty musisz zdecydować – powiedział Klaus. – My nie znamy sytuacji.

Hendricks pokiwał głową.

–To nie jest takie proste. – Rudi nalał sobie kawy z zardzewiałego garnka. – Na razie jesteśmy tu bezpieczni, ale nie możemy tak zostać na zawsze. Nie mamy dosyć jedzenia.

–Ale jeżeli wyjdziemy...

–Jeżeli wyjdziemy, dostaną nas. Prawdopodobnie nas dostaną. Nie ujdziemy zbyt daleko. Gdzie jest twój bunkier, majorze?

–Trzy, cztery mile stąd.

–Może nam się udać. Jest nas czworo. Każdy będzie patrzył w inną stronę. Nie będą mogły nas zaskoczyć ani zacząć iść za nami. Mamy trzy karabiny, trzy celne karabiny. Tasso może wziąć mój pistolet. – Rudi poklepał się po pasku. – W radzieckiej armii nie zawsze dostaje się buty, ale broni nie brakuje. We czwórkę, uzbrojeni, mamy szansę, że chociaż jeden z nas dojdzie do twojego bunkra. Najlepiej, żebyś to był ty, majorze.

–A jeżeli już tam są? – spytał Klaus.

Rudi wzruszył ramionami.

–Wtedy wrócimy tu.

Hendricks stanął.

–Jak sądzicie, jaka jest szansa, że dostały się już do amerykańskich baz?

–Trudno powiedzieć. Chyba duża. Są dobrze zorganizowane. Wiedzą, co robią. Kiedy raz zaczną, przypominają stado szarańczy. Cały czas posuwają się naprzód i to w niezłym tempie. Zostały zaprogramowane tak, żeby działać cicho i szybko, przez zaskoczenie. Osiągają swój cel zanim ktokolwiek zrozumie o co chodzi.

–Jasne – cicho powiedział Hendricks.

W drugim pokoju Tasso poruszyła się.

–Majorze?

Hendricks odsunął zasłonę.

–Tak?

Tasso, leżąca na małym tapczanie, spojrzała na niego leniwie.

–Czy masz jeszcze te amerykańskie papierosy?

Hendricks wszedł do małego pokoju i usiadł obok niej. Przeszukał kieszenie.

–Nie. Skończyły się.

–Szkoda.

–Jakiej jesteś narodowości?

–Jestem Rosjanką.

–Skąd się tu wzięłaś?

–Tu?

–To kiedyś była Francja. Znajdujemy się w dawnej Normandii. Przyszedł z radziecką armią?

–Dlaczego pytasz?

–Po prostu jestem ciekaw. – Patrzył na nią. Nie miała już na sobie płaszcza. Leżał rzucony w rogu łóżka. Była młoda. Mogła mieć około dwudziestu lat. Szczupła. Jej długie włosy były rozrzucone na poduszce. W milczeniu patrzyła na niego dużymi ciemnymi oczami.

–O czym myślisz? – spytała.

–O niczym. Ile masz lat?

–Osiemnaście. – Dalej obserwowała go nieruchomymi oczami, z głową opartą na rękach. Miała na sobie spodnie i koszulę od rosyjskiego munduru. Szarozielone. W talii szeroki skórzany pasek z nabojami i apteczką.

–Jesteś w radzieckiej armii?

–Nie.

–To skąd masz ten mundur?

Wzruszyła ramionami.

–Dostałam go.

–Ile... Ile miałaś lat, kiedy się tu znalazłaś?

–Szesnaście.

–Tylko?

Zmrużyła oczy.

–O co ci chodzi?

Hendricks potarł brodę.

–Twoje życie wyglądałoby zupełnie inaczej, gdyby nie było wojny. Szesnaście lat. Miałaś szesnaście lat, kiedy zaczęłaś żyć w ten sposób.

–Musiałam jakoś przetrwać.

–Ja cię nie potępiam.

–Twoje życie też wyglądałoby inaczej – powiedziała cicho. Pochyliła się i rozsznurowała jeden but. Rzuciła go na podłogę. – Majorze, czy mógłbyś pójść do drugiego pokoju? Jestem śpiąca.

–To będzie kłopotliwe mieszkać tu w cztery osoby. Czy są tylko te dwa pokoje?

–Tak.

–Jak duża była kiedyś ta piwnica? Większa niż to? Może są tu inne pokoje zasypane gruzem? Moglibyśmy spróbować się do nich dostać.

–Może. Naprawdę nie wiem. – Tasso rozpięła pasek. Położyła się wygodnie na łóżku, odpinając guziki koszuli. – Na pewno nie masz więcej papierosów?

–Miałem tylko jedną paczkę.

–Szkoda. Może jak dotrzemy do twojego bunkra uda nam się coś znaleźć. – Drugi but został rzucony na podłogę. Tasso sięgnęła do lampy. – Dobranoc.

–Idziesz spać?

–Zgadłeś.

Pokój pogrążył się w ciemności. Hendricks wstał i poszedł do kuchni. Nagle stanął oniemiały.

Rudi stał przy ścianie, jego twarz była blada i błyszcząca od potu. Otworzył i zamknął usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Klaus stał przed nim, przyciskając lufę swojego pistoletu do jego żołądka. Żaden z nich się nie ruszał. Klaus, z ręką zaciśniętą na pistolecie, z nieruchomą twarzą. Rudi, blady i cichy, przyciśnięty do ściany.

–Co... – Hendricks chciał zapytać, ale Klaus przerwał mu.

–Spokojnie, majorze. Podejdź tu. Pistolet. Wyjmij swój pistolet.

Hendricks wyciągnął pistolet.

–O co chodzi?

–Pilnuj go. – Klaus popchnął go do przodu. – Stań obok mnie, szybciej!

Rudi poruszył się lekko, opuszczając ręce. Odwrócił się do Hendricksa, przygryzając usta. Oczy mu błyszczały. Z czoła na policzki spływał kroplami pot. Utkwił wzrok w Hendricksie.

–Majorze, on zwariował. Zatrzymaj go. – Głos Rudiego był zduszony i chrapliwy, ledwie słyszalny.

–Co tu się dzieje? – spytał Hendricks.

Nie opuszczając broni Klaus odpowiedział.

–Majorze, pamiętasz naszą dyskusję? Trzy modele? Znamy tylko model nr 1 i model nr 3. Nie wiedzieliśmy, jak wygląda model nr 2. Dotąd nie wiedzieliśmy. – Palce Klusa zacisnęły się na kolbie. – Dotąd nie wiedzieliśmy, ale teraz już wiemy.

Nacisnął spust. W Rudiego uderzył strumień białego gorąca.

–Majorze, to jest model nr 2.

Tasso odsunęła zasłonę.

–Klaus! Co ty zrobiłeś?

Klaus odwrócił się od zwęglonego ciała, osuwającego się na podłogę.

–Model nr 2, Tasso. Teraz już wiemy. Znamy już wszystkie trzy typy. Niebezpieczeństwo zmniejszyło się. Ja...

Tasso patrzyła za niego, na coś, co kiedyś było Rudim, na szerniałe, tłące się szczątki i fragmenty ubrania.

–Zabiłeś go.

–Go? Chyba chciałaś powiedzieć "to". Obserwowałem. Przeczuwałem coś. Ale nie byłem pewien. Przynajmniej dotąd nie byłem pewien. Ale dziś wieczór zrozumiałem. – Klaus nerwowo pocierał swój pistolet. – Mamy szczęście. Nie widzicie tego? Jeszcze godzina i ta maszyna mogła...

–Byłeś p e w i e n? – Tasso odepchnęła go i pochyliła się nad dymiącymi resztkami, leżącymi na podłodze. Jej twarz stężała. – Majorze, zobacz sam. Kości, ciało.

Hendricks uklęknął obok niej. Te szczątki były szczątkami człowieka. Osmalone

ciało, nadpalone fragmenty kości, kawałki czaszki. Trzewia, krew. Krew tworząca kałużę na podłodze.

–Żadnych kótek – powiedziała Tasso spokojnie. Wyprostowała się. – Żadnych kótek, żadnych części, żadnych mechanizmów. To nie szczęki. To nie jest model nr 2. – Skrzyżowała ramiona. – Będziesz się musiał jakoś z tego wytłumaczyć.

Klaus usiadł przy stole. Nagle jego twarz całkiem zbladła. Objął głowę rękoma i zaczął się kiwać w przód i w tył.

–Opanuj się. – Palce Tasso zacisnęły się na jego ramieniu. – Dlaczego to zrobiłeś? Dlaczego go zabiłeś?

–Bał się – powiedział Hendricks. – Wszystko to, cała ta sytuacja zagęszczająca się wokół nas.

–Może.

–A co innego? Jak myślisz?

–Myślę, że może miał jakiś powód, żeby zabić Rudiego. Jakiś dobry powód.

–Jaki?

–Może Rudi dowiedział się o czymś.

Hendricks patrzył na jej bladą twarz.

–O czym? – spytał.

–O nim. O Klausie.

Klaus spojrzał bystro.

–Wiesz, co ona próbuje powiedzieć? Ona myśli, że to ja jestem modelem nr 2. Nie widzisz tego, majorze? Chce, żebyś uwierzył, że celowo go zabiłem. Że jestem...

–To dlaczego go zabiłeś? – spytała Tasso.

–Powiedziałem ci. – Ze znużeniem potrząsnął głową. – Myślałem, że jest robotem. Myślałem, że...

–Ale dlaczego?

–Obserwowałem go. Miałem coraz więcej podejrzeń.

–Dlaczego?

–Wydawało mi się, że coś zauważyłem. Że coś usłyszałem. Wydawało mi się, że... – przerwał.

–Mów dalej.

–Siedzieliśmy przy stole. Graliśmy w karty. Wy byliście w drugim pokoju. Wydawało mi się, że usłyszałem brzęczenie.

Zapanowała cisza.

–Wierzysz w to? – spytała Tasso Hendricksa.

–Tak. Wierzę mu.

–Ja nie. Myślę, że zabił Rudiego w jakimś celu. – Tasso dotknęła karabinu leżącego w rogu pokoju. – Majorze...

–Nie. – Hendricks potrząsnął głową. – Skończmy to już. Jeden wystarczy. Boimy się tak, jak on się bał. Jeżeli go zabijemy. zachowamy się tak, jak przedtem on się zachował.

Klaus spojrzał na niego z wdzięcznością.

–Dziękuję. Bałem się. Rozumiesz to, prawda? Teraz ona się boi tak jak ja. Ona chce mnie zabić.

–Skończmy z zabijaniem. – Hendricks podszedł do drabiny. – Idę na górę, spróbuję jeszcze raz nawiązać łączność. Jeżeli mi się nie uda, jutro rano wyruszymy w kierunku mojej bazy.

Klaus wstał szybko.

–Pójdę z tobą i ci pomogę.

Nocne powietrze było zimne. Ziemia stygła. Klaus odetchnął głęboko. On i Hendricks wyszli na powierzchnię. Klaus stanął na szeroko rozstawionych nogach, z karabinem gotowym do strzału, patrząc i nasłuchując. Hendricks kucnął koło wejścia, nastawiając mały nadajnik.

–No i jak? – spytał Klaus po chwili.

–Na razie nic.

–Spróbuj jeszcze. Powiedz im, co się stało.

Hendricks znowu zaczął nadawać. Bez skutku. W końcu opuścił antenę.

–To na nic. Nie słyszą mnie. Albo słyszą, ale nie chcą odpowiedzieć. Albo...

–Albo już ich nie ma.

–Spróbuję jeszcze raz. – Hendricks podniósł antenę. – Scott, czy mnie słyszysz?
Odbiór!

Słuchał. Nic, tylko zakłócenia. Nagle, bardzo słabo...

–Tu Scott.

Zacisnął palce.

–Scott, czy to ty?!

–Tu Scott.

Klaus kucnął obok niego.

–Czy to twoja baza?

–Scott, słuchaj. Czy mnie zrozumiałeś? Chodzi o nie, o szczęki. Czy odebrałeś moją wiadomość? Czy mnie słyszysz?

–Tak. – Ledwie słyszalna odpowiedź. Z trudem zrozumiał nawet to słowo.

–Czy odebrałeś moją wiadomość? Czy w bunkrze wszystko w porządku? Nie dostały się do środka?

–Wszystko jest w porządku.

–Czy próbowały wdrzeć się do środka?

Głos coraz bardziej zanikał.

–Nie.

Hendricks odwrócił się do Klause.

–Wszystko w porządku.

–Czy zostali zaatakowani?

–Nie. – Hendricks przycisnął słuchawkę mocniej do ucha. – Scott, ledwie cię słyszę. Czy zawiadomiłeś Bazę Księżycową? Czy oni wiedzą? Czy są ostrzeżeni?

Cisza.

Hendricks odprężył się, opuścił słuchawkę.

–Koniec. To musi być promieniowanie.

Hendricks i Klaus spojrzeli na siebie. Żaden z nich nic nie powiedział. Po jakimś czasie Klaus odezwał się.

–Czy rozpoznałeś głos któregoś ze swoich ludzi?

–Za słabo ich słyszałem.

–Nie możesz być pewien?

–Nie.

–Więc to mogło być...

–Nie wiem. Teraz nie jestem pewien. Zejdźmy na dół i zamknijmy włącznik.

Wolno zeszli po drabinie do ciepłej piwnicy. Klaus starannie zakręcił klapę. Tasso czekała na nich. Jej twarz była zupełnie bez wyrazu.

–Nie udało się? – Żaden z nich nie odpowiedział. – No więc? – W końcu odezwał się Klaus. – Co o tym myślisz, majorze? Czy był to twój oficer, czy jeden z nich?

–Nie wiem.

–To znaczy, jesteśmy w takiej samej sytuacji jak przedtem.

Hendricks patrzył w dół. Na jego twarzy widać było skupienie.

–Musimy tam pójść. Żeby się upewnić.

–W każdym razie mamy tu dosyć jedzenia tylko na parę tygodni. Będziemy musieli stąd wyjść, wcześniej czy później.

–Chyba masz rację.

–Co się stało? – spytała Tasso. – Udało ci się skontaktować z twoim bunkrem? O co właściwie chodzi?

–To mógł być któryś z moich ludzi – powiedział powoli Hendricks. – Ale mógł to też być jeden z nich. W każdym razie nigdy się tego nie dowiemy stojąc tu. – Spojrzał na zegarek. – Prześpijmy się teraz trochę. Jutro powinniśmy wcześniej wstać.

–Wcześniej?

–Wczesnym rankiem mamy największe szanse uniknąć szczęk – stwierdził Hendricks.

Ranek był rześki i jasny. Major Hendricks obserwował okolicę przez swoją lornetkę.

–Widzisz coś? – spytał Klaus.

–Nie.

–Potrafisz rozpoznać nasze bunkry?

–Gdzie?

–Tam. – Klaus wziął lornetkę i ustawił ją. – Wiem, w którym kierunku szukać. – Patrzył dłuższą chwilę bez słowa.

Tasso weszła na górę i wyszła na powierzchnię.

–Widać coś?

–Nie.– Klaus oddał lornetkę Hendricksowi.

–Nie widać ich stąd. Chodźmy. Nie stójmy tu.

We trójkę zeszli ze wzgórza, ślizgając się w miękkim popiele. Przez płaską skałę przebiegła jaszczurka. Stanęli w napięciu.

–Co to było? – wyszeptał Klaus.

–Jaszczurka.

Zwierzátko biegło szybko dalej przez popiół. Było dokładnie w kolorze podłoża.

–Idealna adaptacja – powiedział Klaus. – To dowód, że mieliśmy rację. To znaczy Łysenko.

Doszli na sam dół wzgórza i zatrzymali się. Stanęli blisko siebie, rozglądając się dookoła.

–Chodźmy. – Hendricks ruszył dalej. – Piechotą to spory kawałek drogi.

Klaus szedł obok niego. Tasso z tyłu, z pistoletem gotowym do strzału.

–Majorze, chciałem cię o coś zapytać – powiedział Klaus. – Jak natknąłeś się na

David? Tego, który potem szedł z tobą.

–Spotkałem go po drodze. W jakichś ruinach.

–I co on mówił?

–Niewiele. Powiedział, że jest sam.

–Nie dało się rozpoznać, że to maszyna? Mówił jak prawdziwy człowiek? Nic nie podejrzewałeś?

–Niewiele mówił. Nie zauważyłem nic podejrzanego.

–To niesamowite. Maszyny tak podobne do ludzi, że nie jesteś w stanie rozpoznać. Prawie żywe. Zastanawiam się, jak się to skończy.

–Robią to, do czego wy, Amerykanie, je stworzyliście – stwierdziła Tasso. – Zostały zaprojektowane tak, żeby wykrywać i niszczyć życie. Ludzkie życie. Wszędzie, gdzie tylko je znajdują.

Hendricks patrzył na Klause zamyślony.

–Dlaczego pytasz? Nad czym się zastanawiasz?

–Nieważne – odpowiedział Klaus.

–Klaus myśli, że to ty jesteś modelem nr 2 – stwierdziła Tasso spokojnie. – Teraz ciebie zaczął podejrzewać.

Klaus zaczerwienił się.

–Dlaczego nie? Wysłaliśmy posłańca do bazy amerykańskiej, a przyszedł on. Może myślał, że trafi tu na łatwy łup.

Hendricks zaśmiał się chrapliwie.

–Przyszedłem z bunkrów Narodów Zjednoczonych. Tam było pełno ludzi.

–Może szukałeś okazji, żeby dostać się do naszych baz. Może to była dla ciebie szansa. Może...

–Przecież rosyjskie bazy zostały zajęte zanim tu doszedłem. Zanim opuściłem mój bunkier. Nie zapominaj o tym.

Tasso podeszła do nich.

–To o niczym nie świadczy, majorze.

–Dlaczego?

–Wygląda na to, że poszczególne modele nie porozumiewają się między sobą. Każdy z nich jest produkowany w innej fabryce. Nie wydaje się, żeby razem pracowały. Może wyruszyłeś w kierunku rosyjskich baz nie wiedząc nic o działaniach innych modeli. Może nawet nie wiedząc, jak one wyglądają.

–Skąd wiesz tak dużo o szczękach? – spytał Hendricks.

–Widywałam je. Obserwowałam, jak zajmują rosyjskie bunkry.

–Wiesz rzeczywiście dużo – stwierdził Klaus. – Prawdę mówiąc widziałas niewiele. Nie przypuszczałem, że jesteś takim ważnym obserwatorem.

Tasso zaśmiała się.

–Teraz na mnie kolej?

–Skończmy z tym – powiedział Hendricks. Szli dalej, nic nie mówiąc.

–Czy całą drogę będziemy szli na piechotę? – spytała Tasso po chwili. – Nie jestem przyzwyczajona do chodzenia. – Rozejrzała się. Wokół widać było tylko popiół. Wszędzie, jak okiem sięgnąć. – Jak tu okropnie.

–Tak będzie przez całą drogę – powiedział Klaus.

–Czasami wydaje mi się, że wolałabym, żebyś był w swoim bunkrze, kiedy zaczął się atak.

–Wtedy zamiast mnie byłby tu ktoś inny – stwierdził Klaus.

Tasso roześmiała się, wkładając ręce do kieszeni.

–Chyba masz rację.

Szli dalej, rozglądając się uważnie po rozciągającej się wokół nich, pokrytej popiołem równinie.

Słońce chyliło się ku zachodowi. Hendricks powoli, z trudem posuwał się do przodu. Ruchem ręki przywoływał do siebie Klause i Tasso. Klaus przyklęknął, opierając kolbę pistoletu o ziemię.

Tasso znalazła wystającą betonową płytę i usiadła na niej z westchnieniem ulgi.

–Jak dobrze jest wreszcie odpocząć.

–Cicho bądź – powiedział Klaus ostro.

Hendricks dotarł do szczytu wzniesienia, tego samego wzniesienia, do którego poprzedniego dnia doszedł rosyjski posłaniec. Hendricks położył się, wyjął swoją lornetkę i zaczął obserwować okolicę.

Nie zauważył nic podejrzanego. Tylko popiół i suche pnie drzew. Ale tam, nie więcej niż pięćdziesiąt jardów od miejsca, gdzie się znajdował, było wejście do bunkra. Do bunkra, który tak niedawno opuścił. Hendricks patrzył nic nie mówiąc. Żadnego ruchu. Żadnego znaku życia. Nic nawet nie drgnęło.

Klaus doczołgał się do niego.

–Gdzie to jest?

–Tam na dole. – Hendricks podał mu lornetkę. Nad nimi po wieczornym niebie sunęły chmury pyłu. Ściemniało się. Mieli przed sobą najwyżej kilka godzin dnia. Może nawet mniej.

–Nic nie widzę – powiedział Klaus.

–Koło tego drzewa, tam. Widzisz ten pień? Obok stosu cegieł. Wejście jest tuż przy tych ceglach.

–Muszę ci wierzyć na słowo.

–Kryjcie mnie stąd, razem z Tasso. Będziesz mnie widział przez całą drogę, aż do wejścia do bunkra.

–Idziesz sam?

–Z moim znaczkiem jestem bezpieczny. Ziemia wokół bunkra to jedna wielka masa szczęk. Kryją się w popiele. Jak kraby. Bez znaczków nie mielibyście żadnej szansy.

–Może masz rację.

–Cały czas będę szedł wolno. Kiedy tylko zorientuję się...

–Jeżeli one są tam, w bunkrze, to nie uda ci się wejść tu z powrotem. Działają szybko. Nawet sobie tego nie wyobrażasz.

–W takim razie co proponujesz?

Klaus zastanowił się.

–Nie wiem. Poproś, żeby ktoś wyszedł na zewnątrz. Wtedy się zorientujesz.

Hendricks wyjął swój nadajnik i podniósł antenę.

–Spróbujmy.

Klaus dał znak Tasso. Wprawnie podczołgała się do miejsca, w którym siedzieli.

–Pójdzie sam – powiedział Klaus. – My będziemy go stąd kryli. Gdy tylko zobaczysz, że zawraca, strzelaj obok niego. One działają szybko.

–Nie wykazujesz zbytniego optymizmu – stwierdziła Tasso.

–Nie, wcale.

Hendricks odbezpieczył swój pistolet i sprawdził go starannie.

–Może wszystko jest w porządku.

–Nie widziałeś tego. Są ich setki. Wszystkie takie same. Rozbiegają się jak mrówki.

–Powinienem się zorientować, zanim zejść na sam dół. – Hendricks przygotował pistolet, wziął go w jedną rękę, nadajnik w drugą. – No dobrze, życcie mi szczęścia.

Klaus wyciągnął rękę.

–Nie wchodź, zanim się nie upewnisz. Porozmawiaj z nimi z zewnątrz. Każ im się pokazać.

Hendricks wstał. Zaczął schodzić ze wzgórza.

Chwilę później szedł wolno w kierunku sterty cegieł i gruzu, leżącej obok suchego pnia. W kierunku wejścia do bunkra.

Nic się nie poruszyło. Podniósł nadajnik, włączając go.

–Scott! Czy mnie słyszysz?

Cisza.

–Scott! Tu Hendricks. Czy mnie słyszysz? Stoję obok wejścia do bunkra. Możesz mnie zobaczyć na monitorze.

Nasłuchiwał mocno trzymając nadajnik. Żadnej odpowiedzi. Tylko trzaski. Podeszedł kawałek dalej. Jakieś szczęki wychyliły się z piasku, podsunęły w jego kierunku, potem stanęły i znieruchomiały. Pojawiły się następne, znacznie większe, z

czujnikami. Też zaczęły sunąć, badając starannie potencjalną ofiarę. Jednak one też zatrzymały się o kilka kroków od niego, jakby z szacunkiem. Chwilę później dołączyły do nich następne, równie duże. Po cichu szczęki posuwały się za nim w miarę, jak szedł w stronę bunkra.

Hendricks zatrzymał się, a za nim stanęły również szczęki. Był już bardzo blisko. Prawie przy schodach prowadzących na dół, do bunkra.

–Scott! Czy mnie słyszysz? Stoję tuż przy wejściu. Na zewnątrz. Na powierzchni. Czy mnie widzisz?

Czekał, trzymając pistolet gotowy do strzału i przyciskając odbiornik do ucha. Czas płynął. Starał się coś usłyszeć, ale z odbiornika nie wydobywał się żaden dźwięk. Tylko cisza i słabe trzaski.

Aż nagle, jakby z daleka, metalicznie...

–Tu Scott.

Głos brzmiał neutralnie. Zimno. Nie mógł go zidentyfikować. Ale odbiornik był niewielki.

–Scott! Posłuchaj mnie. Stoję tuż przy wejściu do bunkra. Jestem na powierzchni. Patrzę prosto na włącznik.

–Tak.

–Czy mnie widzisz?

–Tak.

–Na monitorze? Ustawiałeś go na mnie?

–Tak.

Hendricks zastanowił się. Czekające wokół niego szczęki tworzyły krąg. Wszędzie dookoła metalowe, szare kształty. – Czy w bunkrze wszystko jest w porządku? Czy nie wydarzyło się nic nadzwyczajnego?

–Wszystko jest w porządku.

–Czy możesz wyjść na powierzchnię? Chciałbym cię zobaczyć. – Hendricks wziął głęboki oddech. – Wyjdź na zewnątrz. Chcę z tobą porozmawiać.

–Zejdź na dół.

–Wydałem ci rozkaz.

Cisza.

–Idziesz? – Hendricks nasłuchiwał. Nie było żadnej odpowiedzi. – Rozkazuję ci wyjść na powierzchnię.

–Zejdź na dół.

Hendricks zacisnął usta.

–Daj mi Leone.

Długa pauza. Słyszał tylko trzaski. Potem pojawił się głos, twardy, metaliczny. Podobny do poprzedniego.

–Tu Leone.

–Hendricks. Jestem na powierzchni. Przy wejściu do bunkra. Chcę, żeby jeden z was wyszedł na zewnątrz.

–Zejdź na dół.

–Dlaczego mam zejść na dół? Wydaję wam rozkaz!

Cisza. Hendricks opuścił nadajnik. Rozejrzał się uważnie wokół siebie. Wejście do bunkra było tuż obok. Prawie u jego stóp. Schował antenę i przyczepił nadajnik do paska. Chwycił pistolet w obie ręce. Zaczął iść do przodu, krok za krokiem. Jeżeli go obserwowali, wiedzieli, że ruszył w stronę wejścia. Na chwilę przymknął oczy.

Potem postawił nogę na pierwszym stopniu, prowadzącym w dół.

Tuż przed nim pojawiło się dwóch Davidów, mieli identyczne twarze, zupełnie bez wyrazu. Strzelili i rozpryszy się na kawałki. Pojawiło się ich więcej, wychodziły cicho, całymi grupami. Wszystkie identyczne.

Hendricks odwrócił się i zaczął uciekać z powrotem, w kierunku wzgórza.

Ze szczytu Tasso i Klaus zaczęli strzelać. Małe szczęki sunęły już w ich stronę, błyszczące metalowe kule, ścigające się w obłokach popiołu. Ale Hendricks nie myślał już o tym. Klęczał z pistoletem przyciśniętym do policzka, celując w wejście do bunkra. Davidy wychodziły grupami, trzymając swoje pluszowe misie, ich chude nóżki szybko pokonywały schody prowadzące na powierzchnię. Hendricks strzelał do najbliższych postaci. Rozpadały się na kawałki, kółka i sprężyny fruwały we wszystkich kierunkach. Strzelał dalej, ledwie widząc cel przez chmury drobnych części.

Nagle pojawiła się ogromna postać, krocząca ociężale i lekko się kołysząca. Hendricks znieruchomiał na chwilę zaskoczony. Mężczyzna, jednonogi żołnierz, wspierający się na kuli.

–Majorze! – Dobiegł go głos Tasso. Usłyszał strzały. Wielka postać posuwała się do przodu, otoczona grupą Davidów. Hendricks przełamał chwilową niemoc. Model nr 1, Ranny Żołnierz. Wycelował i strzelił. Żołnierz rozpadł się na kawałki, części, tysiące fragmentów. Na płaskim terenie przed bunkrem widać było masę Davidów. Strzelał cały czas, wolno posuwając się do tyłu, pochylony, wciąż celując.

Ze szczytu wciąż strzelał Klaus. Zbocze wzgórza było jednym wielkim polem szczęk posuwających się coraz wyżej. Hendricks przemieszczał się w kierunku wzniesienia, biegnąc skulony. Tasso zostawiła Klause i odsunęła się w prawo.

Kolejny David podszedł w jego kierunku, mała twarz była zupełnie bez wyrazu. Brązowe włosy spadały mu na oczy. Pochylił się nagle otwierając ramiona. Jego pluszowy miś wypadł na ziemię i potoczył się w kierunku Hendricksa. Strzał. David i jego miś zniknęli. Hendricks uśmiechnął się i przymknął oczy. To wszystko było jak sen.

–Chodź tu! – Głos Tasso. Hendricks zaczął się przesuwać w jej kierunku. Stała przy betonowych kolumnach, resztkach ścian zrujnowanego budynku. Strzelała z pistoletu, który dał jej Klaus.

–Dziękuję. – Znalazł się przy niej, ciężko dysząc. Popchnęła go do tyłu, za jakąś betonową ścianę, szukając czegoś przy pasku.

–Zamknij oczy! – Wyjęła jakiś owalny przedmiot. Szybko odkręciła zatyczkę, odbezpieczyła. – Zamknij oczy i połóż się.

Rzuciła granat, który poszybował równym łukiem, spadł i potoczył się w stronę wejścia do bunkra. Jeden Ranny Żołnierz stał niepewnie na kupie cegieł. Obok niego pojawiło się kilku Davidów. Ranny Żołnierz ruszył w kierunku pocisku, stanął niezgrabnie, chcąc go podnieść.

Granat wybuchł. Silny wstrząs przewrócił Hendricksa tak, że upadł na twarz. Poczuł uderzenie gorącego wiatru. Niewyraźnie zobaczył Tasso, która stała za betonową ścianą i powoli i metodycznie strzelała do Davidów pojawiających się w chmurach białego dymu.

Z tyłu na wzgórzu Klaus walczył z zacieśniającym się kręgiem szczęk. Odsuwał się, ciągle strzelając, próbując się przedrzeć przez ten pierścień.

Hendricks podniósł się na nogi. Bolała go głowa. Niewiele widział. Wszystko wokół niego wirowało w zawrotnym tempie. Nie mógł poruszyć prawym ramieniem.

Tasso przysunęła się do niego.

–Chodź, idziemy stąd.

–A Klaus? On wciąż tam jest.

–Chodź!– Tasso odciągnęła Hendricksa do tyłu. Potrząsnął głową próbując zaprotestować. Jednak Tasso prowadziła go szybko, jej oczy błyszczały, wypatrując szczęk, które mogły umknąć przed wybuchem.

Z chmury popiołu wyłonił się jeszcze jeden David. Tasso strzeliła w jego kierunku. Żaden więcej już się nie pojawił.

–Ale Klaus. Co z nim będzie? – Hendricks zatrzymał się i stanął niepewnie. – Przecież on...

–Chodź już!

Szli, oddalali się coraz bardziej od bunkra. Kilka małych szczęk sunęło za nimi jeszcze przez chwilę, ale potem zrezygnowały i ruszyły w inną stronę.

W końcu Tasso zatrzymała się.

–Tu możemy na chwilę stanąć i odetchnąć.

Hendricks usiadł na jakiejś górze gruzu. Otarł pot z szyi, oddychając ciężko.

–Zostawiliśmy tam Klausea.

Tasso nie odpowiedziała. Wzięła swój pistolet i wsadziła do niego nowy krążek naboju.

Hendricks patrzył na nią zdziwiony.

–Dlaczego go tam zostawiłaś?

Tasso złożyła pistolet. Zaczęła starannie oglądać kupy kamieni leżące obok. Jej twarz nic nie wyrażała.

–O co chodzi? – spytał w końcu. – Czego tak szukasz? Czy czekasz na coś? – Potrząsnął głową próbując zrozumieć. Co ona właściwie robiła? Na co czekała? Nie zauważył nic nadzwyczajnego. Wszędzie wokół nich widać było tylko popiół i ruiny. Czasem suche pnie drzew, bez liści i gałęzi.

–Co... – Tasso przerwała mu. – Bądź cicho – Jej oczy zwęziły się nagle. Podniosła pistolet. Hendricks odwrócił się, idąc za jej spojrzeniem.

Na drodze, którą przyszli, pojawiła się jakaś postać. Szła niepewnie w ich kierunku. W podartym ubraniu. Kuląła jak po długim marszu, posuwała się wolno i ostrożnie. Stając co jakiś czas, odpoczywając i zbierając siły do dalszego marszu. Raz prawie upadła. Zatrzymała się na chwilę, starając się odzyskać równowagę. Potem ruszyła dalej.

Klaus.

Hendricks wstał.

–Klaus! – Zaczął iść w jego kierunku. – Jak do diabła udało ci się...

Tasso strzeliła. Hendricks odchylił się do tyłu. Jeszcze jeden strzał. Pocisk przeszedł tuż obok niego, poczuł falę ciepła. Trafił Klausa w pierś. Sprężyny i kółka rozprysły się we wszystkich kierunkach. Przez chwilę jeszcze szedł. Potem zakołysał się w przód i w tył. Upadł na ziemię z szeroko rozrzuconymi ramionami. Po ziemi potoczyło się kilka kólek.

Cisza.

Tasso odwróciła się do Hendricksa.

–Teraz już rozumiesz dlaczego zabił Rudiego.

Hendricks usiadł powoli. Potrząsnął głową. Był jak ogłuszony. Nie mógł myśleć.

–Widzisz? – spytała Tasso. – Rozumiesz?

Hendricks nie odpowiedział. Wszystko nagle zawirowało wokół niego. Coraz szybciej i szybciej. Otoczyła go ciemność.

Zamknął oczy.

Hendricks powoli otworzył oczy. W całym ciele czuł dziwną niemoc. Próbował usiąść, ale jego rękę i ramię przeniknął nagły ból. Westchnął.

–Nie wstawaj – powiedziała Tasso. Pochyliła się i położyła mu na czole chłodną dłoń.

Była noc. Mimo sunących chmur popiołu na niebie świeciło kilka gwiazd. Hendricks leżał na plecach zaciskając zęby. Tasso patrzyła na niego obojętnie. Rozpaliła małe ognisko ze znalezionych kawałków drzewa. Ogień palił się słabo, sycząc przy zetknięciu z wiszącym nad nim metalowym kubkiem. Panowała cisza. Otaczała ich nieruchoma ciemność.

–Więc to on był modelem nr 2 – wyszeptał Hendricks.

–Zawsze to podejrzewałam.

–Dlaczego nie zniszczyłaś go wcześniej? – spytał zdziwiony.

–Ty mnie powstrzymywałaś. – Tasso pochyliła się nad kubkiem. – Kawa. Zaraz będzie gotowa.

Siadła obok niego. Zaczęła rozkładać swój pistolet i oglądać starannie wszystkie części.

–To świetny pistolet – powiedziała półgłosem. – Mechanizm jest doskonały.

–A co z nimi? Ze szczękami?

–Wstrząs po wybuchu unieruchomił większość z nich. To delikatne, wysoko zorganizowane mechanizmy, tak przypuszczam.

–Davidy też?

–Tak.

–Skąd miałaś taki granat?

Tasso wzruszyła ramionami.

–Produkujemy je. Nie docenicie naszej technologii, majorze. Bez tego granatu żadne z nas już by nie istniało.

–Bardzo się przydał.

Tasso wyprostowała nogi, ogrzewając stopy przy ogniu.

–Byłam zaskoczona, że nic nie zrozumiałeś, kiedy on zastrzelił Rudiego. Dlaczego myślałeś, że on...

–Powiedziałem ci, myślałem, że to ze strachu.

–Naprawdę? Wiesz, majorze, przez chwilę podejrzewałam i ciebie. Dlatego, że nie pozwoliłeś mi go zastrzelić. Myślałam, że może go ochraniaasz – zaśmiała się.

–Czy jesteśmy tu bezpieczni? – spytał Hendricks niespokojnie.

–Na razie tak. Dokąd nie przyjdą następne, z innych okolic. – Tasso zaczęła czyścić wnętrze swojego pistoletu kawałkiem jakiejś szmatki. Kiedy skończyła, złożyła cały mechanizm. Zamknęła pistolet, gładząc palcami naboje.

–Mieliśmy szczęście – powiedział cicho Hendricks.

–Tak, dużo szczęścia.

–Dziękuję, że mnie stamtąd wyciągnęłaś.

Tasso nie odpowiedziała. Spojrzała na niego. Jej oczy błyszczały w świetle ogniska. Hendricks obejrzał swoją rękę. Nie mógł poruszać palcami. Cała jedna strona wydawała się sparaliżowana. W środku czuł tępy ból.

–Jak się czujesz? – spytała Tasso.

–Mam uszkodzoną rękę.

–Coś jeszcze?

–Chyba jakieś obrażenia wewnętrzne.

–Dlaczego nie położyłeś się, zanim rzuciłam granat?

Hendricks nic nie odpowiedział. Patrzył, jak Tasso nalewa kawę z kubka do małej metalowej miseczki. Podała mu ją.

–Dziękuję. – Podniósł się na tyle, żeby móc pić. Przełykał z trudem. Poczuł, jak w środku coś mu się przewraca. Odsunął od siebie miseczkę. – To wszystko, co mogę teraz wypić.

Tasso wypila resztę. Czas płynął. Chmury popiołu przesuwaly się nad nimi po ciemnym niebie. Hendricks odpoczywał, nie myśląc o niczym. Po chwili zdał sobie sprawę, że Tasso stoi obok, patrząc na niego.

–O co chodzi? – wyszeptał.

–Czy czujesz się już lepiej?

–Troszkę.

–Wiesz, majorze, że gdybym cię stamtąd nie wyciągnęła. dostałyby cię. Byłbyś martwy, jak Rudi.

–Wiem.

–Chcesz wiedzieć, dlaczego to zrobiłam? Mogłam cię zostawić. Mogłabym zostawić cię tutaj.

–Dlaczego?

–Dlatego, że musimy jakoś się stąd wydostać. – Tasso poruszyła ognisko patykiem, patrząc spokojnie w dół. – Żadna ludzka istota tu nie przeżyje. Kiedy pojawią się następne, nie będziemy mieli żadnej szansy. Zastanawiałam się nad tym, kiedy byłeś nieprzytomny. Myślę, że zostały nam jakieś trzy godziny, zanim tu dotrą.

–I oczekujesz, że wydostanę nas stąd?

–Właśnie. Oczekuję, że wydostaniesz nas stąd.

–Dlaczego akurat ja?

–Dlatego, że ja nie znam żadnego sposobu. – Patrzyła na niego błyszczącymi, nieruchomymi oczami. – Jeżeli nie znasz metody na wydostanie się stąd, zabiją nas. Nie widzę innej możliwości. Co ty na to, majorze? Co zamierzasz zrobić? Czekałam całą noc. Kiedy byłeś nieprzytomny, siedziałam tu czekając i nasłuchując. Już prawie świt. Noc już się kończy.

Hendricks zastanowił się.

–To ciekawe – powiedział w końcu.

–Ciekawe?

–Że sądzisz, że mogę nas stąd wydostać. Jak uważasz, co mógłbym zrobić?

–Czy znasz sposób na dostanie się do Bazy Księżycowej?

–Do Bazy Księżycowej? Jak?

–Musi być jakiś sposób.

Hendricks potrząsnął głową.

–Nie. O ile wiem, nie ma.

Tasso nic nie powiedziała. Przez chwilę jej nieruchome oczy zamigotały. Schyliła nagle głowę, odwracając się. Wstała.

–Jeszcze kawy?

–Nie.

–Jak chcesz. – Tasso piła nic nie mówiąc. Nie widział jej twarzy. Leżał na ziemi, na plecach, zamyślony, próbując się skoncentrować. Nie mógł się skupić. Wciąż bolała go głowa. Wciąż czuł obezwładniającą niemoc.

–Może jest jeden sposób – powiedział nagle.

–No?

–Kiedy będzie świt?

–Za dwie godziny. Niedługo zaczną wschodzić słońce.

–Gdzieś tu powinien być statek. Nigdy go nie widziałem. Ale wiem, że istnieje.

–Jaki statek? – jej głos zabrzmiał ostro.

–Krażownik rakietowy.

–Czy on może nas stąd zabrać? Aż do Bazy Księżycowej?

–Do tego miał służyć. Gdyby sytuacja była krytyczna. Potarł dłonią czoło.

–Co ci jest?

–Moja głowa. Jakoś nie mogę myśleć. Z trudem... Z trudem się koncentruję. To ten granat.

–Czy statek jest blisko? – Tasso kucnęła obok niego. – Gdzie on jest? Jak daleko stąd?

–Próbuję się skupić.

Zacisnęła palce na jego ramieniu.

–Blisko? – Jej głos był jak stalowe ostrze. – Gdzie to może być? Czy jest ukryty pod ziemią?

–Tak. W podziemnym garażu.

–Jak go znaleźć? Czy jest jakoś oznaczony? Czy istnieje jakiś specjalny kod?

Hendricks skoncentrował się.

–Nie. Żadnego oznaczenia, żadnego kodu.

–Więc co?

–Znak.

–Jaki znak?

Hendricks nie odpowiedział. W migającym świetle jego oczy wydawały się szkliste jak dwie półprzejryste kule. Palce Tasso jeszcze mocniej zacisnęły się na jego ramieniu.

–Jaki znak? Co to jest?

–Nie... Nie mogę się skupić. Daj mi odpocząć.

–Dobrze. – Zostawiła go i wstała. Hendricks leżał na ziemi, na plecach, oczy miał zamknięte. Tasso odeszła z rękami w kieszeniach. Kopnęła jakiś kamień leżący na drodze i stanęła patrząc w górę. Czarne niebo zaczynało już szarzeć. Zbliżał się ranek.

Trzymała w ręku swój pistolet i chodziła wokół ogniska. Na ziemi leżał nieruchomo major Hendricks, oczy miał wciąż zamknięte. Niebo stawało się coraz bardziej szare. Można już było dostrzec ciągnące się we wszystkich kierunkach pola popiołu. Ruiny budynków, gdzieniegdzie jakaś sciana, kupa betonowego gruzu, suchy pień drzewa.

Powietrze było zimne, przejmujące. Gdzieś daleko jakiś ptak zakwilił słabo.

Hendricks poruszył się. Otworzył oczy.

–Już świta?

–Tak.

Hendricks podniósł się lekko.

–Chciałaś coś wiedzieć. O coś mnie pytałaś.

–Przypomniałaś sobie już?

–Tak.

–Więc co to jest? – patrzyła na niego z uwagą. – Co? – powtórzyła ostro.

–Studnia. Ruiny studni. Pod nimi znajduje się ten garaż.

–Studnia. – Tasso odprężyła się. – W takim razie musimy ją znaleźć. – Spojrzała na zegarek. – Majorze, mamy godzinę. Czy myślisz, że uda nam się ją znaleźć w ciągu godziny?

–Daj mi rękę – powiedział Hendricks.

Tasso odłożyła pistolet i pomogła mu wstać.

–To nie będzie łatwe.

–Masz rację. – Hendricks zacisnął usta. – Ale chyba nie będziemy musieli iść daleko.

Ruszyli w drogę. Poranne słońce dawało niewiele ciepła. Okolica była zupełnie płaska i jałowa, rozciągała się przed nimi szara przestrzeń, bez żadnych znaków życia. Kilka ptaków krążyło cicho, wysoko nad nimi.

–Widzisz coś? – spytał Hendricks. – Żadnych szczęk?

–Nie. Na razie nie.

Minęli jakieś ruiny. Beton i cegła. Cementowe fundamenty. Kilka szczurów uciekło im spod nóg. Tasso odskoczyła przestraszona.

–To kiedyś było miasto – powiedział Hendricks. – Miasteczko. Prowincjonalne miasteczko. W tej okolicy uprawiano winorośl. Tu gdzie teraz jesteśmy.

Doszli do zburzonej ulicy. Przecinały ją szczeliny, w których rosły chwasty. Po prawej stronie sterczał kamienny komin.

–Uważaj – ostrzegł ją.

Minęli jakiś dół, dawne wejście do piwnicy. Wystawały z niego poszarpane końce rur, powyginane i zardzewiałe. Przeszli obok fragmentu domu. Po jednej stronie stała wanna, złamane krzesło. Kilka łyżek i kawałki porcelanowej zastawy. Na środku ulicy zapadła się ziemia. Zagłębienie pełne było chwastów, gruzu i kości.

–To tam – cicho powiedział Hendricks.

–Tędy?

–Na prawo.

Minęli resztki wielkiego czołgu. Licznik przy pasku Hendricksa zapiszczał ostrzegawczo. W czołgu znajdował się radioaktywny ładunek. Kilka metrów dalej leżało zmumifikowane ciało, rozciągnięte w nienaturalnej pozycji, z otwartymi ustami. Za drogą było już tylko płaskie pole, kamienie, chwasty i kawałki rozbitego szkła.

–Tam – powiedział Hendricks.

Z ziemi wystawała częściowo zburzona kamienna studnia. Leżało na niej kilka desek. Większość cembrowiny zapadła się w gruz. Hendricks szedł niepewnie w jej kierunku, Tasso za nim.

–Czy jesteś pewien, że to tu? – spytała Tasso. – To nie wygląda jak znak.

–Jestem pewien. – Hendricks usiadł na brzegu studni, zacisnął zęby. Oddychał szybko. Otarł pot z twarzy. – To było stworzone po to, żeby oficer dowodzący bazą mógł się w razie czego wydostać. Gdyby bunkier musiał się poddać.

–To ty nim byłeś?

–Tak.

–Gdzie jest statek? Tutaj?

–Stoimy na nim. – Hendricks przesunął ręką po kamieniach z których zbudowana była studnia. – Fotokomórka reaguje tylko na mnie, na nikogo innego. To mój statek. To miał być mój statek.

Usłyszeli ostry trzask. Pod nimi rozległ się niski, głuchy dźwięk.

–Odsuń się – powiedział Hendricks. Obydwoje odeszli od studni.

Część ziemi osunęła się ukazując metalową ramę. Powoli wyłaniała się ona spod popiołu, odsuwając cegły i chwasty. Statek wysunął się na powierzchnię i wszystko znieruchomiało.

–To on – powiedział Hendricks.

Statek był niewielki. Stał spokojnie w swojej metalowej klatce. Wyglądał jak wielka, zgięta na końcu igła. Do ciemnej dziury, z której się wyłonił spadał deszcz popiołu. Hendricks podszedł w kierunku statku. Wspiął się na ramę, odkręcił luk i otworzył go. Wewnątrz widać było zegary kontrolne i fotel.

Tasso podeszła i stanęła obok niego zaglądając do środka.

–Nie jestem przyzwyczajona do pilotowania takiego statku – powiedziała po chwili.

Hendricks spojrział na nią.

–Ja będę prowadził.

–Tak myślisz? Tam jest tylko jedno siedzenie, majorze. Ten statek jest przeznaczony dla jednej osoby.

Oddech Hendricksa stał się szybszy. Starannie obejrzał wnętrze statku. Tasso miała rację. Było tylko jedno miejsce. Statek został zaprojektowany tak, żeby pomieścić jedną osobę.

–Rozumiem – powiedział powoli. – Tą osobą jesteś ty.

Skinęła głową.

–Oczywiście.

–Dlaczego?

–Ty nie możesz pojechać. Mógłbyś nie przeżyć podróży. Jesteś ranny. Prawdopodobnie nie dostałbyś się tam.

–Ciekawa propozycja. Ale widzisz, ja wiem, gdzie znajduje się Baza Księżycowa. A ty nie. Możesz latać dookoła niej przez miesiąc i nie trafić tam. Jest dobrze ukryta. Jeżeli się nie wie, gdzie szukać...

–Muszę podjąć to ryzyko. Może nie znajdę jej. Na pewno nie sama. Ale myślę, że powiesz mi wszystko, co wiesz. Twoje życie od tego zależy.

–Dlaczego?

–Jeżeli znajdę Bazę Księżycową odpowiednio szybko, może uda mi się ich namówić, żeby wysłali po ciebie statek. Jeżeli znajdę Bazę szybko. Jeżeli nie, to nie masz żadnej szansy. Na statku na pewno są zapasy jedzenia. Starczą mi na długo...

Hendricks poruszył się niespokojnie. Ale uszkodzone ramię przeszkadzało mu. Tasso pochylała się, odsuwając się lekko. Błyskawicznie podniosła rękę. Próbował się usunąć, ale ona była szybsza. Metalowa kula trafiła go w bok głowy, tuż nad uchem. Poczul obezwładniający ból. Nagle zrobiło mu się ciemno przed oczami. Osunął się na ziemię.

Niejasno zdał sobie sprawę, że stoi nad nim Tasso i kopie go czubkiem buta.

–Majorze! Obudź się!

Otworzył oczy, jęknął.

–Posłuchaj mnie – pochylała się, trzymając pistolet tuż przy jego twarzy. – Muszę się spieszyć. Zostało mi niewiele czasu. Statek jest gotowy do drogi, ale zanim odleczę, chcę, żebyś mi podał wszystkie potrzebne informacje.

Hendricks otrząsnął się, próbując zebrać myśli.

–No szybciej! Gdzie jest Baza Księżycowa? Jak ją znaleźć? Czego mam szukać?

Hendricks milczał.

–Odpowiedz!

–Słucham?

–Majorze, statek jest dobrze zaopatrzony. Mogę w nim przeżyć tygodnie. W końcu znajdę Bazę. A ty za pół godziny będziesz martwy. Twoja jedyna szansa... –
przerwała.

Na zboczu, obok jakiś ruin, coś się poruszyło. Coś leżącego w popiele. Tasso odwróciła się szybko, wycelowała, strzeliła. Kulisty przedmiot zaczął uciekać, tocząc się. Strzeliła jeszcze raz. Szczęki rozpadły się na kawałki, kółka i sprężyny wyleciały w powietrze.

–Widzisz? – powiedziała Tasso. **– Już się pojawiają. To nie potrwa długo.**

–Namówisz ich, żeby po mnie wrócili?

–Tak. Najszybciej, jak będę mogła.

Hendricks spojrział na nią. Patrzył przez chwilę uważnie.

–Nie kłamiesz? – Na jego twarzy pojawił się dziwny wyraz jakby nagłego strachu i tęsknoty. **– Wrócisz po mnie? Zabierzesz mnie do Bazy Księżycowej?**

–Zabiorę cię do Bazy Księżycowej. Ale powiedz mi, gdzie to jest! Zostało mi niewiele czasu.

–Dobrze. – Hendricks usiadł i wziął do ręki kamień. **– Patrz.**

Zaczął rysować coś na piasku. Tasso stała obok niego, śledząc oczami ruchy kamienia. Hendricks szkicował z grubsza mapę Księżyca.

–To jest pasmo Apeninów. Tu jest krater Archimedes. Baza Księżycowa znajduje się za Apeninami, jakieś dwieście mil. Nie wiem dokładnie gdzie. Nikt na Ziemi nie wie. Ale kiedy będziesz nad Apeninami, wyślij sygnał, najpierw jedną raketę czerwoną i jedną zieloną, a zaraz potem dwie czerwone, szybko po sobie. Monitor w Bazie odbierze twój sygnał. Baza jest oczywiście ukryta pod powierzchnią. Poprowadzą cię za pomocą sterów magnetycznych.

–A stery statku? Jak mam nimi operować?

–Prawie wszystko jest automatyczne. Musisz tylko wydać odpowiednią komendę w odpowiednim momencie.

–Dobrze.

–Fotel pochłania większość wstrząsów przy starcie. Powietrze i temperatura są kontrolowane automatycznie. Statek opuści Terrę i znajdzie się w przestrzeni kosmicznej. Sam ustawi się w kierunku Księżyca. Kiedy będziecie już blisko, zacznie krążyć po orbicie, około sto mil ponad powierzchnią. Ta orbita zaprowadzi cię w pobliże Bazy. Gdy znajdziesz się w pobliżu Apeninów, wypuść rakiety sygnalizacyjne.

Tasso wślizgnęła się do wnętrza statku i usiadła na fotelu. Pasy zapięły się automatycznie. Chwyła stery.

–Szkoda, że nie możesz jechać, majorze. Wszystko to było przygotowane dla ciebie, a teraz musisz tu zostać.

–Zostaw mi pistolet.

Odpięła pistolet od paska. Trzymała go w ręku zastanawiając się nad czymś.

–Nie odchodź za daleko stąd. I tak trudno będzie cię znaleźć.

–Nie. Zostanę tu, obok studni.

Chwyła rozrusznik, jej palce dotknęły gładkiego metalu.

–To piękny statek, majorze. Świetnie skonstruowany. Podziwiam jakość waszych wyrobów. Wasi ludzie zawsze dobrze pracowali. Produkujecie rzeczy najwyższej klasy. Praca i wynalazki to największe wasze osiągnięcia.

–Daj mi pistolet – powiedział Hendricks niecierpliwie wyciągając rękę. Usiłował wstać.

–Do widzenia, majorze! – Tasso odrzuciła daleko pistolet. Spadł za plecami Hendricksa, uderzył o ziemię i potoczył się kawałek dalej. Hendricks szybko odwrócił się za nim. Ukląkł i chwycił broń.

Luk statku zamknął się z trzaskiem. Podtrzymujące go pręty opadły. Hendricks zaczął iść z powrotem. Wewnętrzne drzwi zatrzasnęły się. Niepewnie podniósł pistolet.

Teraz słyhać było grzmiący dźwięk. Statek wyprysnął ze swojej klatki. Metalowe pręty nagle zaczęły się topić. Hendricks przypadł do ziemi, odsuwając się. Statek przebił się przez skłębione chmury pyłu, znikając w przestworzach.

Hendricks stał patrząc długo, aż nawet strumień dymu rozplynał się w powietrzu. Wokół nie widać było żadnego ruchu. Poranne powietrze wydawało się chłodne i spokojne. Zaczął iść bez celu z powrotem drogą, którą przyszli. Lepiej pozostawać w ciągłym ruchu. Minie dużo czasu, zanim nadejdzie pomoc – jeżeli w ogóle nadejdzie.

Szukał po kieszeniach, aż znalazł paczkę papierosów. Zapalił jednego łąkowie. Oni wszyscy chcieli od niego papierosy. Ale miał ich niewiele.

Jaszczurka przebiegła przez popiół obok niego. Zatrzymał się w napięciu. Ale jaszczurka zniknęła. Na niebie nad nim słońce wznosiło się coraz wyżej. Kilka much usiadło na płaskiej skale tuż obok. Hendricks odpędził je stopą.

Robiło się gorąco. Pot spływał mu po twarzy, za kołnierz. Chciało mu się pić.

Przystanął teraz i usiadł na jakiejś kupie gruzu. Otworzył swoją apteczkę i połknął kilka pastylek nasennych. Rozejrzał się dookoła. Nie wiedział, gdzie jest.

Nagle szybko podniósł pistolet. Wydawało mu się, że zauważył człowieka. Przypomniał sobie jednak, że to szczątki Klausa, modelu nr 2. Tu właśnie Tasso zastrzeliła go. Widać było kółka, złącza, metalowe części rozrzucone po piasku. Błyszczące i mieniące się w świetle słońca.

Hendricks wstał i podszedł tam. Poruszył zdrętwiałą stopą. Zobaczył metalowy korpus, aluminiowe żebra. Masy przewodów, jak trzewia. Całe sterty drucików, przełączników i sprężynek. Niezliczone silniczki i pręty.

Pochylił się. Czaszka zgmiotła się przy upadku. Widoczny był sztuczny mózg. Przyjrzał mu się. Labirynt obwodów. Miniaturowe rurki. Przewody tak cienkie jak włos. Dotknął czaszki. Odchyliła się. Zobaczył tabliczkę. Przyjrzał się jej.

Nagle zbladł.

Przez długi czas patrzył na tabliczkę. Model nr 4. Nie numer 2. Pomylili się. Istniało jednak więcej typów. Nie tylko trzy. Może wiele więcej. Co najmniej cztery. I Klaus nie był modelem nr 2.

Ale jeżeli nie Klaus...

Nagle zeszywniał. Coś się zbliżało, brnąc przez popiół za wzgórzem. Co to mogło być? Wytężył wzrok. Postacie. Postacie zbliżające się powoli, zapadające się w pył.

Idące w jego kierunku.

Hendricks kucnął szybko, podnosząc pistolet. Pot zalewał mu oczy.. Walczył z opanowującą go paniką patrząc, jak postacie zbliżają się.

Pierwszy szedł David. David zauważył go i przyśpieszył kroku. Następny kroczył szybko za nim. Drugi David. Trzeci. Trzy, wszystkie identyczne, zbliżały się cicho w jego kierunku, ich twarze były zupełnie bez wyrazu, chude nóżki miarowo podnosiły się i opadały. Każdy trzymał w rękach pluszowego misia.

Wycelował i strzelił. Pierwsze dwa Davidy rozpadły się na kawałki. Trzeci szedł dalej. Za nim pojawiła się jeszcze jedna postać. Wolno brnęła w jego stronę, zapadając się w miękkim popiele. Ranny Żołnierz. Ranny Żołnierz i David. A...

A za Rannym Żołnierzem i Davidem szły, jedna obok drugiej, dwie Tasso. Skórzany pas, spodnie od rosyjskiego munduru, koszula, długie włosy. Znajoma postać, którą widział jeszcze tak niedawno. Siedzącą w fotelu w statku. Dwie identyczne, szczupłe, milczące Tasso.

Były już bardzo blisko. David pochylił się, upuszczając swojego pluszowego misia, który nagle zaczął szybko sunąć po ziemi. Hendricks automatycznie nacisnął spust. Miś zniknął, rozpadł się na kawałki. Dwie Tasso zbliżały się, idąc jedna obok drugiej po szarym popiele.

Były już tuż przy nim. Hendricks uniósł pistolet na wysokość biodra i strzelił.

Dwie Tasso rozprysły się. Ale pojawiła się już następna grupa, pięć czy sześć Tasso, wszystkie identyczne, idące rzędem w jego kierunku.

A on dał jej statek i kod. Przez niego była już w drodze do Bazy Księżycowej. To on do tego dopuścił.

Nie mylił się jednak, jeżeli chodzi o granat. Został wyprodukowany przez maszyny

znające inne typy, Davida i Rannego Żołnierza. I Klausu. To nie ludzie go wymyślili. Powstał w jednej z podziemnych fabryk, gdzie nie pracował żaden człowiek.

Rząd Tasso zbliżył się do niego. Hendricks patrzył na niego spokojnie. Znajome twarze, koszule, pasy i starannie przymocowane do nich granaty.

Granaty.

Kiedy Tasso dotarły do niego, przez głowę Hendricksa przebiegła ostatnia, ironiczna myśl. Poczł się trochę lepiej, gdy to sobie uświadomił. Granaty. Stworzone przez model nr 2 do niszczenia innych modeli.

Już więc zaczęły produkować broń jedne przeciwko drugim.

Przełożyła Anna Koszur

PHILIP K. DICK

Autor, którego nie trzeba przedstawiać czytelnikom "Nowej Fantastyki". Opowiadanie "Model nr 2" wydrukowane zostało po raz pierwszy w 1953 r. W 1987 r. weszło w skład tomu opowiadań, któremu też posłużyło tytułem. Dick łączy w nim swoje dwa ulubione tematy. Pierwszy to problem, kto jest człowiekiem, a kto jedynie wydaje się nim być. Pisarz uważał, że dopóki nie odpowiemy na to pytanie, nie możemy być pewni nawet swojej własnej tożsamości. Drugi to konflikt między człowiekiem a stworzoną przez niego maszyną. Temat poruszający twórców równie mocno, kiedy SF powstawała, jak i dziś. Klasyczne opowiadanie Dicka mogło przecież dać pomysł twórcom "Terminatora". Jedynie jego wymowa jest bardziej pesymistyczna.

D.M.

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2011-02-24

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/